

odqtośy

TYGODNIK ŁÓDZKI

20

Rok I. Łódź, 13 lipca 1958 r. Cena 1 zł



ANDRZEJ MAZUR

Wódka płynie ■ Trzy obrazki z wielkiej galerii ■ Idioci i winobranie ■ Białe myszki ■ Parada głuptaków ■ Wnioski i perspektywy ■ Inwokacja

Wyja syreny, W Łodzi, w Nowej Hucie, w Katowicach, Fajrant. Jedni śpieszą do domu, drudzy gdzieś indziej. Niektórzy tylko do bramy. Odbijają ćwiartkę i piją. Wódka płynie. W przeliczeniu na 40 proc. — 600.000 litrów dziennie.

600.000 litrów, to jest, proszę Państwa, towarowy pociąg.

A. ma szczególne zacięcie — spija normę za kilka. Wraca do domu późno. Wybija wszystkich ze snu. Na czerwonej, nie powleczonej pościeli, zabrudzonej wymiotami i uryną, gwałci swoją żonę. Codziennie. Na oczach dzieci. Ma już ich czworo, piąte w drodze. Małżeństwem są sześć lat.

B. ma więcej finezji. Wódeczkę pija umiarkowanie. Wódeczka podnieca go, dodaje wigoru seksualnego. Dzieci dwoje. Zechce łaskawy los — będzie więcej.

A teraz młoda para nowożeńców, Hucze, swojskie, staropolskie wesele. Sto lat! Potem noc poślubna. Cięża, oczywiście, nie musi być tak od razu. Ale może być. W tym wypadku była.

Wiecie, co to jest szkoła specjalna? Szkoła specjalna to taka szkoła, w której między innymi uczą się dzieci niedorozwinięte umysłowo. O tym będzie niżej, ale w tej chwili wtrącam to tak, aby

odwieść Was od przekonania, że cały reportaż jest o pielu wódki i tych tam sprawach, dość przecie popularnych i powszednich.

Austriackich demografów od dawna zastanawiał fakt, że regularnie co siedem lat bardzo pokaźnie zwiększał się w szkołach odsetek dzieci umysłowo upośledzonych. Zagadnienie było niezwykle frapujące i poświęcono mu wiele żmudnych studiów. Z pomocą w rozwikłaniu zagadki przyszła dopiero... statystyka gospodarza. Okazało się bowiem, że wykres „chudych” i „tłustych” lat poczęcia głuptaków cudownie nakładał się na inny wykres, obrazujący wysokość pionów winnic. Te plony co siedem lat były również szczególnie obfite, co naturalnym porządkiem rzeczy odpowiednio zwiększało konsumpcję wina.

Pań Agnes Bluhm zastrzyknieła kiedyś samców białych myszy (bez skojarzeń!) odrobnie alkoholu tuż przed kopulacją. Zastryknieła — nawiasem mówiąc — ponieważ wypić w żaden sposób nie chciała. Potomstwo było żeńskie. Wynik zdawał się być rewelacyjny, bo przy „bezalkoholowej” kopulacji ten sam samiec miał zawsze normalne, mieszane potomstwo. Powtórzyła więc doświadczenie wielokrotnie. Wynik podobny. Tylko, lub prawie tylko żeńskie osobni-

Dziś: KOBIEТЫ Z HOTELU

KAWIARNIANA MAFIA

„Wuja” i kompanii

W sobotę rano milicyjny samochód zatrzymał się przed moim domem. Uśmiechnięty tajemniczo porucznik wyciągnął mnie z łóżka słowami: „Ubierajcie się. Jedźcie z nami. Mamy coś dla was... Był w waszym piśmie taki artykuł... „Mała czarna” zdaje się... Zobaczycie finał „Małej czarnej”. Przepraszam, wyraziłem się nieścisłe, finał rozegra się dopiero przed sądem”.

W ten trochę dziwny, w każdym razie nieoczekiwany sposób zasiadłem w małym pokoiku o zasłoniętych żelazną siatką oknach, nad trzema tomami akt.

Dokumenty, protokoły, zeznania świadków, fałszywe dolary, fotografie... Krzyżujące się poszlaki, ścieżki wiodące w podziemia łódzkie-

go przestępczego świata, odkryte w toku żmudnej pracy Komendy MO. Trzy grube tomy akt.

Zanim to wszystko przewertuję i przemyszę, w gazetach może się ukazać komunikat:

W końcu czerwca Komenda MO m. Łodzi zakończyła zleczone przez prokuraturę czynności śledcze w sprawie handlu obcą walutą, fałszerstwa dolarów, handlu srebrem i złotem, bronią i narkotykami na terenie łódzkich kawiarni. Szesnaście osób zasiadzie na ławie oskarżonych.

str. 5

kił Wniosek był oczywisty: alkohol powoduje selekcję w genotypie, to znaczy w komórkach przekazujących cechy dziedziczne z rodziców na potomstwo. Niektóre z nich nie mogły się oprzeć działaniu alkoholu i ginęły. W tym wypadku były to również komórki determinujące płęć męską. Również, ponieważ nie ustalono u białych myszek innych odkształceń rozwojowych, co nie znaczy, że ich nie było. Mysz, jak wiadomo, drobny ustrój.

No dobrze, powiecie dumnie, ale człowiek — nie biała mysz (choćby skojarzenia same mimo woli cisnęły się pod skórę). Rzeczywiście. Nasz gatunek przewyższa białe myszy odpornością komórek determinujących płęć. Za to posiada inną ułomność. Selekcijnie-mu działaniu alkoholu podlegają komórki określające prawidłowy rozwój kory mózgowej. W tym wypadku giną te właśnie komórki. Niestety, tak. To ustalono.

Na wyższym szczeblu rozwoju najmniejszą odporność wykazują te cechy, które są ostatnią zdoby-

czą ewolucji gatunkowej. Na wyższym szczeblu rozwoju...

Byliście kiedyś w szkole specjalnej? Oczywiście, że nie w charakterze uczniów! Tak z wizytą? Nie? Chodźmy więc razem. To niedaleko. W samej Łodzi, na przykład, jest sześć takich szkół, przeznaczonych tylko dla dzieci niedorozwiniętych.

Teraz już poważnie, naprawdę poważnie. To nie jest temat do reportażu, w którym można by dać uścisk dziennikarskim ambicjom. To smutna relacja z miejsca, gdzie w swym ciasnym, zamkniętym świecie pojęć szamocą się zabite w zarodku człowieczeństwo, zewnętrznie ustanowione na obraz i podobieństwo homo creator — człowieka twórcy.

Następny numer
naszego tygodnika
ukaze się
w zwiększonej
objętości

nie jak zwykle w czwartek
lecz

w sobotę 19 bm.

W numerze między innymi
KONKURS
„POLONEZA CZAS ZACZAĆ”

str. 2 i 3

JAN JANISZEWSKI

LITERAT, TO TEŻ DZIAŁACZ...

W 16 numerze „Odeśców” Tadeusz Papler zatytułował gorzkie żale prelegenta na wsi — „Kto kogo nie rozumie?”.

Sięgnę, przede wszystkim, do samego podejścia do zagadnienia. Pan Tadeusz Papler reprezentuje w swym artykule romantyczny stosunek poety do odbiorcy wg motu Goethego „Wer den Dichter will verstehen muss in Dichters Lande gehen”, chociaż, mam wrażenie, w XX wieku, niezależnie od konstatacji politycznej i szerokości geograficznej, sytuacja całkowicie się zmieniła i raczej autor zobowiązany jest do pielgrzymek po kraju (i to nie tylko w czasie „Dni Oświaty, Książki i Prasy”).

Spotkania literackie z chłopami nie można „ustawiać” tak samo literacko, jak poprzednio ustawiało się je politycznie. Spotkania literata z chłopami nie można traktować po radiowemu: — mój czas się kończy, a odpowiedzi na pytania z dziedziny zmian w kontrakcji między udziałem inż. X w następnej audycji. Prelegent, a tym bardziej literat zainteresowany poważną problematyką wiejską (cytuje słowa autora artykułu: „chłop” ledwie tli się anemiczną nitką w publicystyce i literaturze) nie może być „egzotycznym misjonarzem”, bo przecież dobry misjonarz musi się orientować w uprawie prosa, genealogii bożków, a nawet w koteriach politycznych, jeśli operuje w wiesie murzyńskiej Afryki Równikowej, oddalonej o kilkaset kilometrów od przystanku tamtejszego PKS-u. Dobry misjonarz nie będzie mówił swoim owieczkom o pracy warsztatowej, lecz „zarazi” tubylców swoją ideą, nawet wychwalając pewne grupy szlachetnych bogów. Dobry misjonarz literatury przestanie być „egzotycznym” jeśli spełni warunki: sugestywne przekazanie treści, wymagające dobrej dykcji, a nawet pewnego zacięcia aktorskiego, doskonała orientacja w sprawach gospodarczych interesujących wieś i nawiązanie szerszego kontaktu ze słuchaczami. Nie zgadzam się całkowicie z Pańskim słowami „Cośmy dali dla wsi w ciągu ostatnich lat z literatury? W kregach czytelników żyje się Camusem, Sartrem. Ruch wydawniczy zyskał wiodą przede wszystkim inteligencją”.

W zdaniu Pana — „cośmy dali dla wsi” oznacza, że czytelnik chłopski musi obracać się jedynie w wędrownie za piugiem, a przecież pobięta nawet obserwacja czytelnictwa na wsi wskazuje, że chłop najchętniej sięga do powieści historycznej i, z pewnością, jeśli zaopatrzymy biblioteki gromadzkie czy też punkty biblioteczne w dzieła Gołubiewa, Bunscha, Parnickiego, Rymskiewicza (czyżbyście Władysława), to będą się cieszyły taką samą poczytnością, jak najczęściej spotykane w bibliotekach wiejskich dzieła Kraszewskiego.

Pesymistyczne zakończenie artykułu, cytuję: „Czym zaś żyje wieś? Aż wstyd, jak opuszczono ten teren, na którym meczy się nauczyciel i działacz. Bez poszerzenia „nieba” młodzieżowego, bez ruchu amatorskiego, bez szerokiej pracy kulturalnej, odważnej polityki wydawniczej nie ma sensu bawić się w misjonarskie wyprawy na wsi”.

Nie „Panowie z ulicy wiejsza Adama”. To Wasza przecież rola wymagać zdanie „opuszczono ten teren”, to Wasze zadanie pomóc nauczycielowi i działaczowi, gdyż Wy jesteście, przede wszystkim działaczami, a z kolei dopiero warsztatowcami, to Wasze zadanie poszerzyć „niebo” młodzieży, to Wasze zadanie pomóc ruchowi amatorskiemu w doborze repertuaru, w wyjaśnieniu tekstu, w wprowadzeniu w epokę (mam na myśli najbardziej rozwijający środek kulturalny — teatr amatorski)...

WŁADYSŁAW STRZELECKI

MISJONARZE CZY POLITYCY?

Czyżby wyjazdy pisarzy w „teren” w ramach tak zwanych spotkań z czytelnikami ograniczały się do „misionarskich wypraw”, jak to twierdzi autor felietonu „Kto kogo nie rozumie” w 16 numerze „Odeśców”? Wydaje się, że zagadnienie nie jest nieco szersze, wydaje się, że nawet to skromne efekty, jakie niosą ze sobą „misionarskie wyprawy”, są warte zanotowania. Pozwolę sobie wspomnieć o paru.

Niewiele ponad 20 kilometrów na północny wschód od Radomka leży wieś Przeręb. Nie orientujemy się w odmianach tej nazwy, bo i jej mieszkanicy dotychczas tego nie ustalili. Stąd też Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej mieści się w Przerębie, Gromadzka Biblioteka Publiczna w tym samym gmachu, ale już w Przerębie, szkoła podstawowa w Przerębie, a jeszcze coś w Przerębie.

Przed „spotkaniem” zwiedzamy Bibliotekę Publiczną, Sekretarz Prezydium GRN prowadzi nas na strych w budynku GRN, tłumacząc, że kierowniczki nie ma, gdyż wyjechała do rodziny. Już samo kręte wejście nie zachęca czytelników do korzystania z biblioteki. Pokoik może dwa i pół na cztery metry. Od tygodni nie zamiatany. W jednej z szaf książek pokryte kurzem. Na drugiej szerokiej niakei szafce, na stole leżą w nieładzie porozrzucane karty czytelników, karty książek i katalogi. Na nich gruba warstwa kurzu. Próbuje myśleć. Znakomicie. Otwieramy tę szafkę. Z półek leżą na podłogę przeróżne papiery biurów — dokumenty, kwity, sprawozdania. Śmieci chybą latami gromadzone. Na tej szafce wśród przeróżnych szpagatów prócz przycisku z napisem: — „Wies przedłuża w powiecie w upowszechnianiu czytelnictwa” — też zakurzony. Dokumentów czytelnictwa nie znajdujemy. Sekretarz Prezydium nie umie powiedzieć, ile osób korzysta z biblioteki. Nie dziwnego, chyba tu nigdy nie była, choć pracuje i mieszka na dole w tym samym domu, siedzibie Prezydium GRN. Usiłuje tylko wytłumaczyć, że to była kierowniczka Biblioteki Powiatowej w Radomsku tak forowała kierowniczkę miejscowej biblioteki, stąd to „przodownictwo” w czytelnictwie, stąd ten „ład” zastany i stąd to lekceważenie i stąd to, że kierowniczki prawie nigdy w biblioteczce nie ma.

— A wy co na to?
Wzruszyła ramionami.
— Można było przecież przyjąć, zobaczyć, przestrzec, zmienić.
— Ile otrzymuje kierowniczka biblioteki miesięcznie?
— Około czy ponad 700 złotych.
Sekretarz Prezydium prosi:
— Tylko nie piszcie, panowie, o tym. Nie piszcie.

Na zebranie przyszli stans — mężczyźni i kobiety, 150 osób. Wyслушали zagadnienia: „Myśl wywołująca i rozwój robotniczo-chłopski w poezji”. W dyskusji stwierdzili, iż przydałoby się im takie zebrania, na których mogliby omawiać różne kłopotliwe sprawy polityczne, gospodarcze, prawne, ale cóż? — nie ma ich kto organizować. Literackie? — A jakże. — „Literatura nas wzrusza. Ukazuje czym byliśmy, czym jesteśmy. A to nam potrzebne, więc trzeba o tym wiedzieć”.

Towarzyszący nam instruktor z Powiatowej Biblioteki Publicznej dopiero w drodze powrotnej ujawnił przyczynę swego nie dającego się ukryć w czasie zebrania niepokoju.

— Jeszcze niedawno, 2 czy 3 lata uciekaliśmy z zebrania przez okno.
W jednostce Wojska Polskiego opowiadamy o tym, jak powstają wieniec i książki, o współczesnej literaturze. Mówimy na przemian z przyjaciółmi. A potem grad pytań: — Jakże są zasadnicze kierunki w literaturze współczesnej? Dlaczego dziś nie powstają dzieła wybitne? Dlaczego nie ma Szolochowa? Dlaczego nie upowszechniamy poezji? Pytaniom nie ma końca. Zanim zdążyliśmy odpowiedzieć było 20.15.

Porucznik Legat podszedł do nas. — Ja panów bardzo przepraszam. Do nas jak ktoś ma przyjechać z odczytem to się mówi — załóżcie hydranty, będzie lał wodę. Stawiamy mównicę — tu wskazał na stojące obok pudło, z którego nie korzystaliśmy — niejedno ledwo sięga czytając, a żołnierze spią lub żartują. Wy to zupełnie inaczej. Widać jak oni przyjęli Jeszcze by chcieli. Panów to trzeba by nam jeszcze do drugiego i trzeciego batalionu. Wyznaczymy terminy i zaprosimy.

Przykłady można mnożyć. Nie dwa, nie trzy, ale dziesiątki, nawet setki. Można by przytoczyć różne relacje, nawet najbardziej wzruszające, z tak zwaną „leżką” w oku. Ale nie o to chodzi. Racja ma autor artykułu „Kto kogo nie rozumie”, kiedy mówi o potrzebie „szerokiej pracy kulturalnej” i „odważnej polityki wydawniczej”. Nie ma racji, kiedy czyni aluzję do „misionarskich” wypraw. Pisarz w terenie to nie misjonarz. Pisarz w terenie, w zetknięciu się z ludźmi, niezależnie od warunków, w jakich to spotkanie się odbywa — to polityk. I o tym należy pamiętać.

Nasza szkoła

MATRYMONIALNE

Każdy (każda) z nas musi sobie radzić — w najgorszym wypadku — z jedną żoną (mężem). Niewiele z nas wszakże może się poszczycić sukcesem zaradności.

Istnieje kobieta, która stara się dać sobie radę z kilkuset mężami i żonami. Chętnie służy imieniem, nazwiskiem i adresem: Róża Jurkiewicz, lamy „Sztandaru Młodych”. Wiedzie jej się w tym względzie o wiele lepiej niż nam. Jest to dziwne, zważywszy ilość i — zrozumiałe — jakość: zajmuje się ona cudzymi żonami i mężami. Popełnia przy tym błąd, który Belfer radośnie, rzecz jasna, podchwytuje.

„Sztandar Młodych” rozpisał był ankietę, w której przedstawia zainteresowanym czytelnikom kilkadziesiąt pytań mniej lub bardziej intymnej natury, pretendujących w sumie do zawarcia w sobie całości zasadniczej przynajmniej problematyki społecznej współczesnej instytucji małżeństwa. Obecnie co tydzień p. Róża Jurkiewicz prezentuje w gazecie fragmentaryczne wyniki tej imprezy. Niedawno podała odpowiedź na pytania o zalety współmałżonka w oczach „drugiej połowy”. Oto co tam znajdujemy:

CZYM DZISIEJSZE KOBIE- TY UWODZĄ I PRZYKU- WAJĄ DO SIEBIE MĘŻ- CZYZN?

Wybrałam 100 panów XY. Każdy z nich (na formularzu ankiety małżeńskie „Sztandaru”) wymienia około trzech zalet swej żony. W sumie uzbierałam więc 300 głosów, a rozkładają się one w sposób oto taki:

— 63 razy wymieniają mężowie walory moralne swych połowic (dobroć, skromność, wierność, uczciwość — tę najczęściej).

— Aż 56 razy podkreślają ich walory rodzinne („żona jest gospodarną”, „troskliwa o dom”, „dobra matka”, „świetnie gotuje”) i te stawiają na pierwszym miejscu.

— 52 mężów chwali żony za umiejętność współżycia, za cechy sprzyjające wspólnemu bytowaniu (kultura osobista, delikatność, wyrozumiałość, szczerłość i prawdomówność).

— 26-krotnie mówi się o pracowitości żon, 19-krotnie o ich czystości (dosłownie), 18-krotnie o takich cennych cechach charakteru, jak zaradność, stanowczość, dyskrekcja i tylko samo o walorach intelektualnych.

Urodę, wdzięk wymienia tylko 12 mężów na 100; walory uczuciowe (troskliwość, temperament, miłość) — 14-tu.

W każdym razie wynikałoby z tych danych, że dzisiejsza ŻONA IDEALNA: dobra, gospodarna, prawdomówna i wyrozumiała, niezbyt mądra i niezbyt urodziwa (czyżby?), przypomina bardziej ideal renowski („staniku sobie równego, wychowania, a ćwiczenia roztropnego, obyczajów nadobnych, a wedyliwych”) niż współczesna kobieta wieku atomowego. Kobięta przyjaciela, towarzysza, o równo-

rzędnych prawach, mądra, a przy tym pełna uroku.

A meżowie? JAKIEŻ SA MĘSKIE I MEŻOWSKIE CNOTY?

Wg opinii 100 żon najbardziej cenne są zalety moralne mężczyzn (58 głosów) — m. in. uczciwość, dobroć, sprawiedliwość, wierność.

56 głosami chwala ich za umiejętność współżycia pod jednym dachem, wymieniając tu spokój, kulturę, poczucie humoru, szczerłość i prawdomówność.

42 żony mówią o pozytywnych cechach charakteru małżonków (zaradność, przedsiębiorczość, punktualność, ambicja, wytrwałość), a 34 ich zaletę zasadniczą widzi w tym, że: „domator”, „dobry ojciec”, „kocham mnie i rodzinę”.

Dalej 26 głosów zdobyły sobie walory, leżące w sferze uczuć („czuły”, „troskliwy”, „wyrozumiały”), 19 głosów — pracowitość, 15 — przyjemność intelektualna, a 13 głosów — to, że „nie pije”, „nie ma nałogów”.

Wszystko to byłoby nadzwyczaj dziwne, gdyby... gdyby było prawdziwe.

Albowiem nieprawdą jest, aby szanowni czytelnicy (czytelniczki) „Sztandaru” istotnie pod kątem wymienionych przez się cech wybierali sobie partnerów (partnerki) życiowych. Aby woleli żony brzydkie, ale domyte od ładnych — rzadziej się mylących. Jako też nieprawdą jest jakoby te tu prezentowane cechy były kryteriami rzeczywistej oceny współmałżonków.

Czyż wobec tego mnie mam, iż kilkuset czytelników zmówiło się, by nabrać redakcję jako taką i panią Różę Jurkiewicz osobliście. Albo może uwzględniło się, by odebrać chleb rycerzom „odnowy moralnej” i autorom „czarnej literatury”?

Broń mnie, Panie Boże, Nikogo nie posądzam o taką pomysłowość. Po prostu żelazną prawidłowością, towarzyszącą wszelkim imprezom ankietowym, jest, iż czytelnicy odpowiadają nie tak jak jest, ale tak jak być — według nich — powinno. To znaczy prezentują tu nie swoich współmałżonków i swoją rzeczywistą ich ocenę, czy raczej kryteria oceniania. Prezentują tu i szeregują zespoły cech, które według nich teoretycznie stanowią powinny ideal żony czy męża. Wcał nie do jednak nie znaczy, że spieszą się do urzędu stanu cywilnego taszcząc de pache taki domyte, gospodarny i prawdomówny ideał, który ma im mówić prawdę, być uczciwym, szczerym, czystym, pracowitym... i ko- niec. Naonczas bowiem urzędy stanu załatwiłaby harcerze pożenieni z bohaterkami Sienkiewicza, a nie ludzie XX wieku, taszczący przed „cywilny ołtarz” ładne i morowe dziewczęta z krwi, kości i tak dalej.

Jaskrawa sprzeczność zachodząca pomiędzy życiową praktyką a odpowiedzia-



mi na ankietę „Sztandaru” i w ogóle każdą ankietę, dotyczącą tych spraw, która była, będzie, bądź może być rozpisaną jest problemem o niebo ciekawszym od litani cnót, wyłożonych przez odpowiadających pani Różę Jurkiewicz, a stanowiących raczej prawdziwe kryteria oceniania pomocy domowej. Bowiem „Sztandarowe” króliki doświadczały prezentują tu swoje ogólne teoretyczne poglądy etyczne. Piszą tak, jak wydaje im się, że być powinno. Zażwiedle niech idealna żona jest taka wierszom, niekromnogospodarnoszczera, bo te to cechy mają wedle nich wyższą abstrakcyjnie notę w etyce niż twórcze właściwości intelektualne, walory uczuciowe i lózkowe.

I z tego to założenia wychodząc Belfer uważa, iż trzeba bić w dzwon, w związku z wynikami ankiety nie mniej, niż w wypadku, gdyby odpowiedź na ankietę zawierała cyniczny wyzwanie młodzieży, odpowiadające apokaliptycznym obrazom, które legną się w głowie dewotek i dewotów zwykłych i tych od „odnowy moralnej”. Bowiem dowodzi ona, iż poglądy ze sfery etyki ludzi młodych, żyjących w drugiej połowie dwudziestego wieku nie wyszły z kręgu wpływów zakrytych i Sienkiewicza. Że trzeba podjąć trud pedagogiczny, zmierzający do przewartościowania pojęć i apologetyki dziewczyn-kumpla, dziewczyny sztywno-wyposażonej, o twórczych cechach intelektualnych, legitymującej się rozumem, głębią i ekspresją uczucia — jednym słowem dziewczyny nowoczesnej (i chłopca też). Czyli zbliżyć pojęcia teoretyczne do życia, w którym wracając z podróży z głową pełną ideałów kuchni, fartuszką i buzi w ciup zastaje się małżonkę, krzyczącą do telefonu:

Belfer

PS. Gwoli jasności: nie jestem wrogiem dobroci, skromności, dobrego gotowania, mydła i prawdomówności. Jestem tylko wrogiem pojęć tracących myślną i zakłamaną.

zestr. 1



O W O C E

silku ze strony nauczycieli opowiadał odzworowywanie liter na tablicy. O pisanu liter pod dyktando nie ma mowy. Nie rozumie, co to znaczy „A”, co to znaczy „B”. Potrafi tylko mniej lub więcej niezdarnie przepisać ten znak.

Nowy problem powstał podczas prób pisania ółwkiem. Przez długi czas ogryzał i łamał ółwki. W żaden sposób nie dał się nakłonić do pisania liter, które pisał już kredą na tablicy. Dopiero nauczycielka, zorienowana, że Kazik bardzo lubi bułki z kielbasą, w porozumieniu z matką odbierała mu zapakowane śniadanie i dawała kawałek bułki w nagrodę za napisanie ółwkiem kilku liter. Wówczas pisał chętnie, ale natychmiast dopominał się nagrody. Nasycony — uparcie odmawiał pisania. Metoda jednak okazała się słuszną. Po wielu tygodniach Kazik odzworowywał litery ółwkiem bez bodźca kulinarnego. Ta — nie wdrażający się przed okre-

leniem — tresura zapewniła Kazikowi promocję do II oddziału. Rozpoznanie psychiatryczne: debil, na pograniczu imbecylizmu. Ułomność wrodzona.

Srodowisko: ojciec urzędnik (nie, nie z awansu!) ze średnim wykształceniem. Matka ma również średnie wykształcenie. Dom robi wrażenie kulturalnego, mieszkanki skromne, ale czyste. Są książki i radio. Ojciec lubi wódkę, ale stara się opanować nałóg — nie upija się zresztą. Oboje rodzice, szczególnie matka, silnie przeżywają tragedię swego dziecka.

Stasiek G. lat 11, III oddział, czwarty rok nauki, w tym trzy w szkole specjalnej. Już przy pierwszej rozmowie uderza ogrom na kracowatość ujawnianych uczuć. Pokazuje nauczycielce język i tupie ze złością, aby za moment rzucić się jej z płaczem na szyję. W kontrolnym zeszycie wychowawcy znajdujemy takie ad-

KOBIETY Z HOTELU

Nie wiem, ile jest takich hoteli w Łodzi. Może już tylko kilka, a może jeszcze bardzo dużo. Wiem natomiast, że w takich hotelach nie zobaczy się przejeżdżających, siedzących w hallu i wypełniających karty czasowego zameldowania; nie ma recepcji, gdzie podróżni regulują rachunki za dwu lub trzydniowy pobyt; nie ma portierów obsługujących windy jeżdżące ustawicznie w górę i w dół, nie ma wreszcie ściany zastawionej półkami, przy których wiszą klucze umocowane do gruszkowatych drewnianych rączek. W hotelach, o których opowiem, zbyteczne są te akcesoria. Tu nikt nie zatrzymuje się chwilowo, na krótko, przejazdem. Tu wszyscy mieszkają bardzo długo. Czasem nawet latami.

Byłem niedawno w takim hotelu. Zbudowano go na wolnym placu u wylotu jednej z ruchliwych ulic i nad wejściem przybito tabliczkę: „Hotel robotniczy dla dziewcząt”. Dwupiętrowy budynek niczym się nie różni od innych bloków podlegających prawom nowoczesnego budownictwa. Tak samo jest do dzisiaj nie otynkowany, choć upłynęło wiele lat od dnia jego wzniesienia (tynkowanie podobno bardzo jest kosztowne), tak samo wokół pozostawiono rozkopy, błotnistą ścieżkę bez płyt chodnikowych i wszystko to, co potwierdza, iż budowano ten gmach w latach powojennych.

Hotel przeznaczono dla kobiet. Wprowadzają się one tutaj w okresie wielkiej wędrówki młodzieży ze wsi do miast, w latach porzucania „nierentownej” pracy na roli na rzecz roboty w fabryce za dobrą pensję. Otrzymywały tu łóżka we wspólnych pokojach kobiety opuszczające swe dotychczasowe miejsce zamieszkania — Domy Sierot, a zatrudniane w przemyśle włókienniczym. Młodą, częstokroć niedoświadczoną i niepełnoletnią dziewczętą obliczowano nierozważnie, pochopnie, bez krztyny odpowiedzialności za słowo, rajske życie. Dla wielu z tych dziewcząt istotnie rajem wydawało się czyste łóżko w jasnym, chociaż cztero czy sześciopokojowym pokoju; przyjemnie było umyć się w łazience z ciepłą wodą, zagotować sobie herbatę na gazowej kuchence i nie troszczyć się o opał, bo hotel ma centralne ogrzewanie. Były wesole, szczęśliwe, zadowolone.

Co się stało, że po latach, te same kobiety z gorzka mówią o warunkach i swym życiu?

Pobyt w hotelu, choć miał być etapem przejściowym, zamienił się dla nich w wieloletnią, nie normalną wędrówkę, w oczekiwanie — licho wie — na co. Czują się skrzywdzone. 280 kobiet o różnych charakterach, upodobaniach, o odmiennych poglądach na wspólną własność, na porządek, czystość itd. skazano na współży-

cie w warunkach, w których nieuchronnie wciąż musi dochodzić do zatargów, scysji i awantur. Każda sprawa upada do rozmiarów kataklizmu. Współżycie staje się udręką.

Proszę sobie wyobrazić pokój zamieszkiwany przez sześć kobiet, które przyjechały do Łodzi z sześciu różnych stron Polski. To prawda, że bywało i tak, iż zawiązywała się między nimi mocna przyjaźń i współżycie toczyło się przez lata normalnie. Ale i to prawda, że najczęściej jednak po pierwszych tygodniach wspólnego mieszkania rozpoczynały się niesnaski. Dziewczyna przecież pracując. Każda o innej porze. Jedną przed obiadem, drugą po południu, czwartą na nocnej zmianie w fabryce. Ta ostatnia wraca nad ranem, chce się wyspać. Tymczasem koleżanka włącza radio. Nadają taki wspomniany koncert jazzowy. Wzbucha pierwszy konflikt, padają wyzwiska, niewybredne słowa.

Atmosfera wzajemnych niechęci narasta i to nie tylko wewnątrz pokoi, między mieszkankami. Tworzy się poczyna bariera niechęci między mieszkankami a dyrekcją zakładów. Powody są oczywiste i proste. Hotel zbudowany został za poważne sumy wydatkowane z budżetu fabryki. A w tak wielkim zbiorowisku różnych charakterów nie trudno o brak poszanowania dla cudzej i wspólnej własności. Jest więc powód pierwszy, drugi, trzeci, czwarty... Dewastowanie kosztownych kranów w umywalkach, niszczenie kucharek gazowych, brak porządku poobitane ściany, popsute kontakty elektryczne, zaniedbana ścieżka, poniszczona w niej urzędnicia itp. To prawda, że dziewczęta płacą za pobyt w hotelu od 70 do 120 złotych miesięcznie, więc mają prawa normalnego lokatora. Ale i to również prawda, że zakład pracy (w omawianym wypadku duża fabryka) dopłaca z własnych funduszy, by utrzymać hotel w stanie, jako takiej używalności, przeciętnie 300 tysięcy złotych rocznie. Suma duża.

W hotelu, który odwiedziłem, spośród 280 kobiet, 50 już wyszło zamaż. Procent niewątpliwie duży. Po ślubie mieszkają one nadal w wielopokojowych pokojach i mają prawo przyjmować odwiedziny mężów do 10 godzin w nocy. Mężowie mieszkają poza hotelem. Tak przewiduje regulamin. Ale regulamin jest po to, by go jak najrzadziej ominąć. W pokojach coraz częściej płaczą niemowlęta, w pokojach suszą się pieluszki, w pokojach coraz częściej przesiadują mężowie, nie krepując się zupełnie dziewcząt niezamężnych i zachowując się tak, jakby byli w samodzielnym własnym mieszkaniu.

Nie chciałbym tu przytaczać opowiadań kobiet zamężnych, matek i tych, które spodziewają się dziecka. Opowiadania są smutne, niekiedy tragiczne. Ta na przykład kobieta ma 33 lata, a wygląda na czterdzieści kilka. Odszedł od niej mąż: nie chciał się pogodzić z faktem, że nie może mieszkać z żoną pod jednym dachem. Teraz syn tej kobiety wychowuje się gdzieś u obcych ludzi, bo przecież przy matce nie może. Dziewczynki się na to nie zgadzają, dziewczynkom współmieszkankom bardzo by dziecko przeszkadzało. Schorowana, zupełnie załamana moralnie kobieta, niczego już nie oczekuje od życia, a hotel robotniczy stał się dla niej symbolem klęski osobistej.

„Ta zaś młoda dziewczyna (ma lat 21) jest już mężatką trzy lata. Pierwszy rok po ślubie kochali się z mężem bardzo. Marzyli razem na spacerach o małym mieszkanku, o dziecku. Dziecko przyszło na świat, mieszkanka nie udało się uzyskać. Przychodzący do hotelu na obiady mąż stawiał się coraz bardziej kłótniwy. Z jego starą o mieszkanie w blokach budowanych przez fabrykę także nie wyszło. Otrzymał je pracownicz starsi, mający za sobą 15, 20, 25 lat stażu pracy. Jaki będzie dalszy los tego małżeństwa? Czy znowu powtórzy się historia kobiety z sąsiedniego pokoju, która apatycznie powtarza: „Doszło do tego, że trzeba będzie rozjechać się, bo niesposób tak dalej żyć”.

Tragiczne są życiorysy 50 matek. Nie ulega wątpliwości, że decyzja wyjścia zamaż była i wielu z nich pochonna, nie przemyślana próba zerwania zakletego kręgu. Szukało się w ten sposób dróg urzeczywistnienia marzeń o własnym kącie. Panna przecież nie dostanie mieszkania w mieście, gdzie głód mieszkaniowy przeszedł najsmutniejsze wyliczenia. Wciąż może meżatka będzie miała większe szanse? Zawód jest tym boleśniejszy.

Niech nikt nie myśli, że problem kobiet zamężnych w hotelu



robotniczym pojawił się dopiero dzisiaj. Istniał on już znacznie dawniej, ale nie był tak widoczny. Dawniej co pewien czas opiekujące się hotelem zakłady przydzielali mężatkom mieszkania. Teraz wystąpił wyraźnie, kiedy takich przydziałów nie ma.

Niech nikt także nie myśli, że nie zastanawiano się nad tym problemem na naradach, sesjach. Zastanawiano się przypuszczalnie poważnie. Często hoteli ulegały przecież likwidacji, zamieniono je na mieszkania prywatne. Poza tym, na próbę, w jednym z hoteli oddano na mieszkania dla kobiet zamężnych pokoje, na którychś piętrze. Myślano, że to rozwiąże jakos drażliwą kwestię. Pomyśl w założeniu słuszny okazał się w praktyce niemal koszmarny. Bez przerwy po korytarzach wałęsała się meżatki, przebywające w pokojach w godzinach dozwolonych regulaminem i niedozwolonych, bardzo często spotykała się meżatki w pokojach, gdzie mieszkają dziewczęta niezamężne. Jednym słowem wytworzyła się sytuacja utrudniająca niesłychanie pracę kierownictwu hotelu, a o nią publiczna z oburzeniem mówi o stanie moralnym jego mieszkanki.

Poszukiwanie więc innych rozwiązań wysuwa się na plan pierwszy, zwłaszcza, że trzeba się przyszywać do faktu, iż koncepcja hoteli robotniczych, w początkowej fazie celowa, została w końcu wykoślawiona. Gdyby nawet nie brało się pod uwagę deficytowych hoteli i tych 300 tysięcy złotych dokładanych do każdego z nich przez zakłady pracy rok rocznie, stajemy dzisiaj przed wyborem: albo całkowitej likwidacji hoteli robotniczych, albo utrzymaniu ich pod warunkiem, że staną się one miejscem, w którym mieszka się tylko przez krótki, przejściowy okres czasu. Nie można tu mieszkają latami, nie można tu spędzać młodości, a tym bardziej całego życia. Nie można tolerować dłużej takiego stanu, że we wspólnie zamieszkiwanym pokoju, na oczach współmieszkanek toczy

się normalne ze wszystkimi „akcesoriami” życie małżeńskie, jakże często przez sordidne warunki „zwulgaryzowane”, że wreszcie mąż przychodzący w odwiedziny do żony mieszkającej w 6-ciosobowym pokoju, uwodzi dziewczynę sygnującą na sąsiednim łóżku. Nie jestem, do licha, purytaninem, ale czas zdać sobie sprawę i z tego, że kryzys obyczajów, o którym jest dzisiaj tak głośno, ma między innymi źródło w oddziaływaniu wielu stworzonych przez nas, w minionych latach, instytucji. Czy musimy utrzymywać jeszcze jedną szkodliwą brutalność?

Rozmawiałem z dyrektorem fabryki, której podlega między innymi i ten hotel robotniczy, zamieszkiwany przez 280 kobiet. Ma on za sobą długoletnie doświadczenie, wie ile kosztuje utrzymanie takiego hotelu, ile do niego się dopłaca, dużo wie o intymnym życiu tych kobiet, zdaje sobie sprawę z udręki meżatek i tych bezdzielnych i tych z dziećmi. Zgadza się, że obaj co do konieczności reorganizacji hoteli robotniczych, jeżeli nie można sobie pozwoić w obecnej chwili na całkowitą ich likwidację, i to reorganizacji nie połowicznej, a jasno sroczyszowanej. A więc trzeba przyjąć, że najdłuższy czasokres zamieszkiwania w hotelu przez pracownicę, to trzy miesiące.

Należałoby uczynić wszystko, by z korytarzy i pokoi raz na zawsze zniknęła meżatka — intruz. Muszą odejść z hotelu kobiety, które prowadzące się i awanturujące. Muszą istnieć spłonie administracyjne wobec tych, którzy nie szanują lub nie chcą celowo urządzać hotelu. Przede wszystkim jednak trzeba zapewnić kobietom meżatkom inne niż obecne warunki mieszkaniowe, stwarzające mniej więcej możliwą sytuację do rozwijania się życia rodzinnego. Niech się to odbędzie nawet za cenę zamienienia jednego, czy dwóch hoteli, na zwyczajne budynki mieszkalne. Sytuacja jest bowiem bardziej poważna, niż by się nam wydawało.

CZASU SWEGO

notacje: Szedł korytarzem z koleżanką, trzymając ją za rękę, w najlepszej zgodzie. Nagle zatrzymał się i z całej siły uderzył ją w twarz workiem z butami. Dziewczynka miała przeciętą wargę. Interweniował chirurg.

Jest z reguły niekarny i niezdiscyplinowany. Na każde polecenie nauczycielki reaguje odwrotnie. Gdy każe mu usiąść, wychodzi z ławki i dopiero po chwili, wyraźnie demonstrując mimiką swoje niezadowolenie, siada na miejsce.

Zasób słów niezwykle ubogi. Trudno doliczyć się setki. Samodzielnie formułuje tylko zdania proste. Opowiadać nie umie, ponieważ dwa zdania nie mają już ze sobą żadnego związku. Nauczył się jednak kilku wierszy.

Zdradza pierwotny ambicji; niedawno dał do zrozumienia nauczycielce, że odrobi lekcje, jeśli

otrzyma ocenę bardzo dobrą. Gdy otrzymał piątkę, był bardzo zadowolony i z własnej inicjatywy zaczął mówić wiersz.

Rozpoznanie psychiatryczne: debil. Ułomność wrodzona.

Srodowisko: Ojciec rzemieślnik, prowadzi prywatny warsztat. Nałogowy alkoholik. Dzieckiem w ogóle nie interesuje się. Matka uciekła od męża. Była karana za prostytucję i prowadzenie domu schadzek.

Ojga B., lat 10. Drugi rok nauki w pierwszym oddziale w tym roku w szkole specjalnej. Smutna, zawsze osowiała dziewczynka. Nie uzewnętrznia żadnych uczuć. Twierdził, że nie może się wyrazić, że nie może się wyrazić. Reaguje na zawołanie jej po imieniu dopiero po kilku razach, pomimo że słuch ma prawidłowy.

Wezwana, zawsze wstaje i mówi „Jestem”. Obojętnie, czy wezwano ją po raz pierwszy, czy po raz n-ty w czasie tej samej lekcji. Nie robi żadnych postępów w nauce.

Jako dyżurna wykonuje tylko czynności naśladowcze, bez względu na ich celowość. Do tej pory nie nauczyła się zawiązywać kordki, nie umie zasnuwać bućki.

Decyzja rady pedagogicznej została w tym roku zwolniona z obowiązku nauki. Nawet szkoła specjalna nie zaradzi jej ułomności.

Rozpoznanie psychiatryczne: imbecyl, na pograniczu idiotyzmu. Ułomność wrodzona.

Srodowisko: Ojciec wykwalifikowany robotnik, zarabia powyżej 2.000 zł. Matka zmarła przed dwoma laty. Obecnie ojciec mieszka z kochanką, która prowadzi dom. Mieszkanie dwupokojowe, nowe, w

blokach. Ojciec często się uija. Interesuje się córką, ale traktuje ją ordynarnie, obraża wyzwiskami nawet przy nauczycielce.

Tak, a więc biorąc najbardziej optymistycznie, żadnych innych szans, oprócz elementarnego przystosowania do życia, a właściwie — wegetacji. Trudno mówić o przeżyciach intelektualnych, o jakiegokolwiek kulturze. Może być jednak gorzej. Często niedorozwój umysłowy pociąga różne typy zwyrodnienia, głównie seksualnych. Dla tych — anatomicznie biorąc — ludzi, pozostają tylko zakłady ścisłej izolacji. Skąty Tarpejskiej bowiem świat wyrzucił się od dawna.

Debili, imbecyli i idioty — to trzy stopnie wrodzonego niedorozwoju. Wszystkie polegają na niewłaściwym i niekompletnym wykształceniu płatów mózgowych, tak zwanej „szarej istoty”, to jest tego organu, który przesądza o człowieczeństwie w rozumieniu wyższych cech naszego gatunku. Te braki mogą być różne. Gdy są zupełne, mamy do czynienia z idiotyzmem — zwierzętciem o

ludzkiej powierzchowności. Idioty nie można nauczyć nawet artykułowanych dźwięków.

W 1952 r. w szkołach dla niedorozwiniętych umysłowo uczono 0,1 proc. ogólnej liczby młodzieży ojętej szkolnictwem. W 1956 r. odsetek podskoczył do 0,36 proc. Zgłoszenia w roku bieżącym pozwalają przypuszczać, że ilość pierwszych oddziałów szkół specjalnych zostanie podwojona. Dotyczy to tylko debili i częściowo imbecyli, bez ująwnionych zwyrodnień.

A ile nienormalnych dzieci, zwłaszcza na wsi, odnada ze szkół w pierwszym oddziale i w ogóle nie jest objętych szkolnictwem specjalnym, a tym samym statystyką? Bez ryzyka można twierdzić, że na niewiele więcej niż 100 normalnych dzieci rocznie się 7-8 lat temu jeden debil, imbecyl lub idioty. A ile rodzi się dziś? A ile rodzi się będzie za rok? Wódka przecież płynie...

Jeżeli już, proszę niektórych z Państwa, koniecznie chcąc się rozmnażać, robcie to na trzęświe. ANDRZEJ MAZUR

OSCAR LINDAY

TROPIKALNA KAMPANIA W PAPUI

Marsz w dzikiej dżungli — Strzelec kaemu — Zmienne losy ofensywy — Wielki desant powietrzny — Taktyka spalonej ziemi

Gęsta, nieprzenikniona dżungla. Na wybrzeżu tropikalny, zapierający oddech skwar. Wysokie szczyty pokryte wiecznym śniegiem. Nowa Gwinea. Tu nowoczesny człowiek, wyposażony w cały arsenał swej wojennej cywilizacji wdarł się wśród prymitywne plemiona Papuasów, spokojnie bytujące na szczeblu epoki kamiennej.

Od 8 marca 1942 r., po zajęciu Lae i Salamaua, Japończycy ogniem i stalą przerabiali szlak na południe — ku Port Moresby. Maleńka, dwa i pół tysiąca mieszkańców licząca miejscina, stała się nagle ważnym punktem strategicznym. Pokonując opór dywizji australijskiej, krok za krokiem, podeszli Japończycy we wrześniu 1942 r. na przedpole Port Moresby. Tu o błyskawicznej wojnie nie mogło być mowy. Papuasi nie budowali autostrad. Wystarczyły im wąziutkie, karkołomne ścieżki górskie, dobre raczej dla cyrkowców, niż dla solidnych inżynierów. Mapy były niedokładne, przeważnie tylko fotograficzne. 300 kilometrów baginiastej dżungli przebyli żołnierze japońscy w sześć miesięcy. Kłeska na Morzu Korallenowym (maj 1942) udaremniła zamiar zajęcia Port Moresby desantem. Pozostawała tylko piechota.

Od czerwca opór Australijczyków zaczął narastać. Wreszcie Japończycy zostali ostatecznie zatrzymani, głównie z powodu konieczności zwiększenia posiłków dla Guadalcanal, gdzie właśnie zaczęła się bitwa. Od września do stycznia 1943 r. obie armie stały w miejscu. Nabierały siły.

Egzotyczna, pachnąca noc, wypełniona subtelnym śpiewem różnorodnego ptactwa, znać brutalnie trząsk karabinu maszynowego. Strzelec Shuido wytyczył słuch. Cisza. Tylko z daleka dobiegł jakby plusk skaczącego do wody krokodyla.

— O. Kama! Australijczycy chodzą jak kangury, ale chyba mi się zdawało — wykrztusił stłumionym szeptem.

Lufa karabinu maszynowego była zablockowana na statywie i jeszcze za dnia starannie wycelowana w wylot wąskiej przełęczy. W bladej księżycowej poświacie kościotrupim blaskiem migotały pociski nianizane na metalową taśmę.

Dźwięk dżungli, który zastął przed chwilą w niemym oczekiwaniu, budził się znów.

Yokada, dla swego wrogu przezywany kotem, wpatrywał się uparcie w słabo zarysowane, postrzępione wierzchołki, wśród których znajdowało się ujście wąwozu. Nie podejrzanego.

— Yokada, wystrzelił rakietę — Shuido obstawał jednak przy swoim — wyraźnie słyszałem repetitione broni. Przecież stanowiąko...

Nagle, z dość znacznej odległości, zakasał automat. Shuido przewał w pół zdania i przywalił mocno do celownika.

— To nie nasza broń. To „Tomigan”! Tu są Yankes! — Yokada pośpiesznie odpiął wielką kaburę rakiety. — Strzelaj. Shuido, oni mogą wyjść tylko z wąwozu.

Ale Shuido nie wystrzelił. Zamek kaemu odmówił posłuszeństwa. Razem z Yokada próbowali usunąć zacięcie i wówczas zważyło im się na plecy kilku drabów i przysięgło do ziemi. Australijska tyraliera szybko przenikała w głąb rozległej doliny. Tu i ówdzie zrywał się szumy zmaszowanych i głucho eksplodowały granaty. Ciężką gardzielią wąwozu sunęła długa kolumna dżibów.

VII dywizja australijska rozpoczęła ofensywę.

18 stycznia 1943 r. bardzo silne ugrupowania australijsko-amerykańskie (około sześciu dywizji), pod osobistym dowództwem generała Mac Arthura, wywołały Japończyków z południowych i centralnych partii gór Owena Stanleya i zajęły miejscowość Buna. Miejscowość ta była końcowym punktem osi baz japońskich, przebiegającej poprzez Salamaua. Lae i Kalapit do Madang. Wzdłuż tej osi rozwijały się kolejne etapy japońskiej ofensywy — i tylko wzdłuż tej osi mogła rozwijać się kontrofensywa Sprzymierzonych. Zajęcie Buna otwierało więc Mac Arthurowi drogę do wyzwolenia Nowej Gwinei.

O ile jednak zupełnie zaskoczyli Japończycy ulegli dość szybko w pierwszej fazie ofensywy, to już po paru dniach określił na tyle, aby w całej pełni udowodnić Sprzymierzonym swa nieprzeprata wolę utrzymania baz na Nowej Gwinei.

Zacięte walki wzdłuż wybrzeża dawały Sprzymierzonym tylko lokalne sukcesy. Okupowane wysokiimi stratami. Od połowy stycznia do końca czerwca amerykańskie i australijskie dywizje posuwały się nie więcej niż 100 kilometrów.

Wprawdzie w tym czasie V i XV armie powietrzne zalały bę gemonie japońskich myśliwców i „Liberatory” wzeleńne swobodnie operowały nad Morzem Nowogwinejskim, skutecznie atakując morskie linie nieprzyjacielskiego zaopatrzenia.

Jednym z największych sukcesów

tych operacji lotniczych był trzydniowy, falisty atak „Liberatorów” na konwoje japońskie, w czasie którego zatopiono około dwadzieścia transportowców z blisko piętnastu tysiącami wojska na pokładach.

W połowie czerwca 1943 r. Japończycy zdecydowali się na kontrofensywę i uderzając niespodziewanie z Salamaua oskrzydliłi armię Sprzymierzonych, usiłując prawdopodobnie wyjść nad Zatokę Papua i przeciąć w ten sposób komunikację z Austalią. Natychmiastowa kontratak Sprzymierzonych była bodaj najpotężniejszą operacją desantowo-powietrzną minionej wojny.

Wysoko nad dżunglą wykłwitały białe obłoczki spadochronów. Szturmowe oddziały VI dywizji australijskiej otrzymały zadanie pośpiesznego przygotowania lądowisk dla samolotów i szybowców transportowych. Równocześnie częścią ich, odkomenderowaną na skraj doliny Bulolo, miała opóźniać rozwijające się japońskie natarcie.

W ciągu kilku dni przerzucono drogą powietrzną ponad połowę VI dywizji, to jest około 10.000 ludzi. Japończycy nie byli przygotowani na taką reakcję. Śmiała ich ofensywa zalała się, jakkolwiek osiągnęła ten sukces, że osłabiła na głównej linii natarcia Sprzymierzonych utknęli również i nie mogli poruścić się ani kroku w stronę Salamaua.

Dotychczasowe operacje na Nowej Gwinei ograniczały się na ogół do wybrzeża i przypominały walki w Afryce, z tą różnicą, że uczestniczyli w nich znacznie liczniejsze siły, dorównujące liczebnością armiom alianckim we Włoszech. Wtargnięciem do doliny Bulolo Japończycy stworzyli nowy obszar operacyjny, tym uciążliwszy dla Sprzymierzonych, że zaopatrywani nie tylko w amunicję i sprzęt, ale również w żywność — wyłącznie drogą powietrzną. Japończycy natomiast zaopatrywali się ładem — bezpośrednio z Salamaua.

W tym stanie rzeczy zacięte tak ważnej bazy nieprzyjacielskiej jak Salamaua było zadaniem pierwszorzędnej wagi.

Nocą z 28 na 29 czerwca 1943 roku, w centrum wybrzeża nad Zatoką Huon, lądowały oddziały amerykańskie, omijając pas umocnień japońskich i wychodząc tuż na przedpole Salamaua. Świeżo utworzony przyczółek przez długi



Obszar operacyjny na Nowej Gwinei. 1 cm = 60 km.
Mapkę prosimy zachować do następnego numeru.

czas rozpaczliwie odpięta kontratak nieprzyjacielskie. Świadomi wyjątkowego znaczenia tej bitwy, Japończycy dokładali wszystkich wysiłków, aby zepchnąć desant amerykański do morza. Dopiero po 45 dniach bombardowania lotniczego i artyleryjskiego, po wielokrotnych dodatkowych lądowaniach posiłków piechoty morskiej, Amerykanie zdołali przejąć inicjatywę. Japończycy walczyli z tak bezprzekładnym męstwem i pogardą śmierci, że oddziały amerykańskie posuwały się tylko po ziemi deszczem wypalonej pociskami rakietowymi i miotaczami płomieni. Kilkunastokilometrową przeszerzeń, od przyczółka do Salamaua, pokonywali Amerykanie przez blisko 30 dni, zajmując zupełnie zniszczone miasteczko dopiero 11 września. Japońskie oddziały, utrzymujące silne punkty oporu na południe od Salamaua,

rozproszyli się w dżungli i, jak głosi fama, ponoć do dziś dnia grasują jeszcze ich resztki w górach Owena Stanleya.

Upadek Salamaua był dla Japończyków niepowetowanym ciosem. Przede wszystkim zagroził odcięciem formacji operujących wciąż w dolinie Bulolo. Formacje te podjęły niezwłoczny odwrót na południe ku dolinie rzeki Ramu (między górami Finisterre i Bismarcka), próbując w ten sposób osłonić Madang. Ponadto Sprzymierzeni uzyskali swobodne portowe wyjście na Zatokę Huon.

Skutki nie kazały na siebie długo czekać. Już w pięć dni później, 16 września, kombinowany lotniczo-morski desant IX dywizji australijskiej zajmując port Lae, a 2 października pada Finschhafen. Sprzymierzeni uzyskują szeroką podstawę wyjściową do decydującego ataku.

Za tydzień:

OPERACJA MADANG

korespondencja ★ korespondencja ★ korespondencja ★ korespondencja ★ korespondencja ★ korespondencja ★ korespondencja ★ koresponde

W sprawie reportażu „Ślone tratuja Nowe Miasto”



DO
OB. REDAKTORA NACZELNEGO
TYGODNIKA „ODGŁOSY”

W związku z reportażem „Ślone tratuja Nowe Miasto” pisma Włodzimierza S. Marka, zamieszczonym w numerze 17 tygodnika „Odgłosy” Zarząd Oddziału Woj. PCK w Łodzi wyjaśnia:

— rozdawnictwem darów dla poszkodowanej

ludności Nowego Miasta zajmował się nie Polski Czerwony Krzyż, a specjalnie powołana komisja społeczna, złożona z przedstawicieli miejscowego społeczeństwa, Rady Narodowej i organizacji społecznych. Polski Czerwony Krzyż przekazał do dyspozycji tej właśnie komisji zebrane wśród społeczeństwa dary.

Komisja ta, znająca ludność swojego miasta — typowała, kto winien dostać pomocy i w jakich rozmiarach. Największe pole do popisu miała właśnie ob. Korzuchowska, członek komisji społecznej z ramienia Rady Narodowej Nowego Miasta i jednocześnie kierownik referatu pomocy społecznej, która winna najlepiej znać najbliższą i najbardziej potrzebną ludność Nowego Miasta.

O pośpiechu nie może być mowy, gdyż na terenie Nowego Miasta komisja prowadziła „dawnictwo” w ciągu całego tygodnia, mogła więc być uwzględniona wszyscy poszkodowani, a nie tylko ci „co pyskowali i nachodzili najwięcej”.

Nieprawdą jest, jakoby ludzie otrzymywali po kilkanaście kilogramów smalcu. Wydawano po dwa kilogramy na osobę pracującą, co jest uwzględnione w protokołach rozdawnictwa, zawsze dostępnych do wglądu.

Nieprawdą jest również, że Polski Czerwony Krzyż rozdawał łóżka i to osobom, które nie straciły.

W całej akcji pomocy Oddział Wojewódzki PCK w Łodzi nie wybrał ani jednego łóżka, gdyż w ogóle nimi nie dysponował. Reporter pomieszał fakty, jakie prawdopo-

dobnie miały miejsce na terenie powiatu grójeckiego, w miejscowościach sąsiadujących z powiatem rawsko-mazowieckim. Ale tam już nie występował Oddział Woj. PCK w Łodzi.

Podobna historia miała miejsce z wydawaniem kartofli we wsi Grójec, która również leży w powiecie grójeckim i nie korzystała z pomocy tutejszego Oddziału Woj. PCK. Oddział Wojewódzki PCK w Łodzi zebrane zboże i ziemniaki przekazał do dyspozycji Zarządu Rolnictwa Prezydium Rady Narodowej w Rawie Maz., który dysponował nimi w zależności od potrzeb poszczególnych wsi.

Nie negujemy, że część darów mogła dostać się w ręce osób nieodpowiednich i została wyniesiona potem na targ, ale nieuczciwość ludzka istnieje wszędzie, gdzie jakakolwiek akcja darowizny — a miejsce.

Bardzo ostry zarzut, zawarty w końcowej części artykułu, odnośnie zaprzeczania wielkiego serca społeczeństwa i jego wspaniałej ofiarności — jest wysoce krzywdzący dla działalności PCK i oparty został na nie sprawdzonych faktach. Zwiastuje słowo „skandal” ma tu raczej zastosowanie w stosunku do reportera, który na podstawie luźnych, możliwe nawet, że jednostronnych informacji — wyetęgnął wniosek podważający opinię organizacji PCK.

Uprzejmie prosimy Ob. Redaktora o zamieszczenie niniejszego wyjaśnienia w najbliższym numerze tygodnika „Odgłosy”

Prezes Zarządu Oddz. Woj. PCK w Łodzi
A. KAMINSKI

W związku z zamieszczonym powyżej listem pozwalam sobie wyjaśnić:

1) Oświadczenie ob. Korzuchowskiej „złożone zostało wobec wielu urzędników MRN w Nowym Mieście. Wszyscy oni nie kryli oburzenia na sposób rozdawania darów i podkreślali rolę w tym właśnie urzędników PCK. Wiemy wreszcie, jak wygląda w praktyce tzw. komisyjność, szczególnie wtedy, kiedy nanowicie z wielkiego miasta wyjada zorganizować „komisję” w miasteczku. Wątpliwie w tak dalece idącą skromność delegatów Wielkiej Łodzi i brak pokusy do dyrygowania komisją.

Nie bujajmy się więc panowie. 2) O pośpiechu mówiono mi w MRN ze szczególnym naciskiem. 3) Łóżka i kartofle rzeczywiście rozdawano w powiecie grójeckim, ale przecież wymieniałem nazwę miejscowości: Brzostówek. Wreszcie czy to ważne, który okręg PCK trwał w tym wypadku. Ważne jest, że w ogóle do tego doszło.

4) Ilości przydzielonego smalcu podano mi również w MRN, a ponadto mówiło mi o tym wielu moich rozmówców. Zachodzi jedynie obawa, że w Nowym Mieście pojacie „rodzina” potraktowano zbyt szeroko. Czasem osada taka to sami powinowaci i wówczas rzeczywiście na rodzinę mogło przypaść wiele kilogramów smalcu. Być może więc, że formalnie strzeżeniem gaffę i protokołem można by mnie przygwoździć. Protokoły to jednak diabli nie mocny argument. Wiemy coś o tym.

5) Co do „skandalu” — przyjmuję. Jesteśmy przynajmniej na remis.

WŁODZIMIERZ S. MAREK

odgłosy

str.
4

ze str. 1

CO TO JEST „BIURO”
I KTO W NIM „URZĘDUJE?”

Cofnijmy się do początków całej tej afery. Jesień roku 1957. W kawiarni „Warszawianka” przebywa wówczas baryczysty brunet J. Koltuniak, pseudonim „Wujo”. Przychodzi zawsze ok. godziny 10, wyciąga narzędzia pracy: lupę i kwas, i rozpoczyna „urzędowanie” w swoim (jak to mawiał) „biurze”. Skupuje od młodych ludzi srebro i złoto podkradane przeważnie z domu i handluje tym gdzie można i jak można. „Od stu zabieram dziesięć, od tysiąca zabieram sto” — mawia „Wujo”, co chłopaczki sprzedające mu srebrne lichtarze, puderniczki, łyżki, biory, za dowód pewnego poczucia humoru, „Wujo” bowiem nie płaci im więcej jak pół ceny, czasem mniej. Ale ktoś się będzie targował z „Wujem”? „Wujo” jest silny, „Wujo” ma wpływy, „Wujo” ma do pomocy „Bigosa”, swego rodzaju sekretarza i organizatora klientów. Współ z gromadą pośredników i agentów organizują istny nielegalny dom handlowy. Bliźniaczo podobną działalność prowadzi druga „szyszka” kawiarniana: Mirosław Sobon. Wszyscy oni trudnią się również handlem obcą walutą.

„KUP PAN DOLARY...”

Działają według własnej metody. W ich języku nazywa się to „naprowadzaniem gościa na jelenia” i „stawianiem go na warcie”. Metody tej doświadczył na własnej skórze chłopiec W. G., który później zeznawał w Komendzie MO. Będąc w kłopotach finansowych W. G. przyszedł pewnego jesiennego wieczoru do „biura”, wiedząc, że niektórzy bywalcy tej kawiarni kupują obcą walutę, złoto, srebro, zegarki. Pokazał „Wujowi” 20 dolarów kanadyjskich.

— Dobrze, zajmę się tym — powiedział „Wujo” i naprowadził chłopca „na jelenia”, tzn. rzekomego kupca. Podeszł do stolika, przy którym siedział jakiś mężczyzna. „Wujo” przedstawił mu sprawę. Mężczyzna zgodził się na kupno, wziął dolary od W. G. i poszedł je obejrzeć do ubikacji. Tymczasem „Wujo” z kolegami wyszedł z kawiarni. Postawiony na warcie chłopiec czekał pół godziny, godzinę... Nie wiedział, że w „Warszawiance” brak klat w oknach ubikacji i że przez te okna można opuścić niepostrzeżenie lokal.

Kiedy nazajutrz spotkał „Wuję” i jego szajkę, ci „zrobili zdziwione oczy”.

— Dolary? Nie o tym nie słyszeliśmy... Najlepiej w takiej sprawie pójść do Komendy MO.

Podali dokładny adres. Wszystko z poważnymi minami, w tonie współczującym.

Takich oszukanych „postawionych na warcie” chłopców można było często zobaczyć w „Warszawiance”.



KAWIARNIANA MAFIA

„Wujo” i kompanii

wiance”, „Liliane”, „Grandce”. Jak wierząc się niespokojnie przy stolikach czekali na kupców, którzy „na chwilę wyszli” z ich dolarami, pierścieniami czy zegarkami. Zawiadamiać milicję nikt z nich się nie kwapił. Nie wiedzieli na ogół, że przynależność do takich sprawek jest okolicznością w znacznej mierze łagodzącą.

Do Komendy MO już od dawna docierały echa afer rozgrywających się pod zadymionymi sufity „Liliane”, „Warszawianki”, „Egzotycznej”. Postawiono na nogi wydział do walki z przestępstwami gospodarczymi. Rozpoczęło się mozolne gromadzenie materiałów. Powoli zaczęto docierać do tej zorganizowanej na jakichś własnych zasadach przestępczej mafii. Odszukiwać niełatwo, łączące pewnych ludzi, pewne sprawy.

Kartoteki milicyjne zaludniły się niemalym tłumkiem nazwisk i fotografii: „Jasiu Bikiniarz”, „Książę nocny”, „Śmierdzący Mokasyn”, „Senior”, „Puszklin”. I tym podobne wymyślne pseudonimy; aż trudno uwierzyć, że tacy poetyczni ludzie handlowali walutą i zdjęciami pornograficznymi.

FALSZERZE

Milicja wpadła również na trop fałszerzy dolarów. W aktach znajdują się dwa rodzaje fałszywych dolarów: podrabiane (otrzymywane prawdopodobnie z zagranicy) i przerabiane (np. z dwudolarówek za pomocą wyskrobywania liter robiono 50 i 100-dolarówki). Niektóre fałszyfikatry są bardzo udane i na pierwszy rzut oka trudne do rozpoznania, inne fabrykowane w sposób prymitywny, metodą „na chama”.

Oglądam banknot 100-dolarowy, przerobiony z dwudolarowego. Cyfrę — 2 — wytarto i wstawiono tam cyfrę 100. Natomiast

„two” (po angielsku dwa) przerobiono na „swo”, by dźwiękową zbieżnością słów „sto” i „swo” zasugerować naiwnego kupca. Wśród młodocianych aferzystów była moda nabierania się na fałszywe dolary, nawet starym wygłosem zdarzało się czasem wpaść. W kawiarnianym półmroczku, po kilku kieliszkach nie zawsze wiadomo, co się kupuje.

NA TROPACH WIELKIEJ AFERY

W październiku 1957 r. niejaki R. M., utrzymujący kontakt z „Wujem”, „Seniorem” i innymi bywałcami kawiarni otrzymał telefon. Wzywający go na wieczór do „Warszawianki”. O umówionej godzinie czekał na niego „Senior”. R. M. zapytany, czy ma trochę czasu, odpowiedział twierdząco. Wówczas „Senior” wręczył mu białe pudełko i polecił oddać je wysokiemu mężczyźnie, który będzie czekał na rogu ul. Wieckowskiej i Gdańskiej.

W umówionym miejscu stał wysoki mężczyzna z podniesionym kołnierzem u płaszcza.

— Masz? — zapytał chłopca.

R. M., zamiast odpowiedzieć, oddał mu pudełko. Wtedy wyszedł z jakiegoś bramy człowiek o pseudonimie „Wąsik” i wręczył mu 200 zł. Historia ta powtarzała się parokrotnie. Kiedyś R. M. nie wytrzymał i zapytał „Seniora”, co znajduje się w białym pudełku?

— Nie wiesz? To co zawsze, kokaina — odpowiedział „Senior”.

R. M. rzucił nagle pudełko: nie chciał dalej iść. Wtedy „Senior” i „Wąsik” pobili go i zostawili na ulicy.

Ile w tym prawdy? Ile fantazji?

I tu powtarzają się te same twarze, podobne są metody postępowania. Jedni i ci sami handlują więc srebrem i złotem z

garkami, fałszywymi dolarami i narkotykami. Widać rozgałęzienia przestępczej, młodzieżowej mafii sięgają bardzo daleko. Niestety, mimo ogromnego wysiłku milicji, włożonego w sprawdzenie powyższych poszlak, śledztwo w sprawie handlu narkotykami zostało z braku dostatecznych dowodów umorzone. Nie wiadomo, czy w labiryncie uliczek łódzkich do pewnej dzielnicy miasta i pewnego domku została zerwana.

Inne poszlaki wskazują na to, że w kawiarniach handluje się tzw. środkami silnie działającymi np. „Johimbina”. W ubiegłym roku w „Teresinie” ktoś z znajomych zwrócił się do Wł. Sucheckiego (jeden z oskarżonych o handel walutą) z propozycją kupna „Johimbiny”. Suchecki podeszł do drugiego stolika, gdzie na poczekaniu jakiś mężczyzna wypisał receptę na 10 tabletek „Johimbiny”. „Na receptę” kosztuje ona, zdaje się, 1 zł 40 gr, w kawiarniach sprzedaje się ją po ok. 40 zł z fiolką. Handlować warto.

Jeden z przesłuchiwanym oświadczył, że zna z kawiarni „Polonia” sanitariusza Pogotowia Ratunkowego, który wykorzystując recepty in blanco, kradzione lekarzowi, handluje „Johimbina”, kokainą i innymi narkotykami.

AKTA PRZEJĄŁ PROKURATOR

W czarnym od dymu pokoju, o zasłoniętych żelazną siatką oknach, kończy czytanie trzeciego tomu akt tej pasjonującej sprawy.

15. II. 1958 r. zgłosił się do Komendy MO chłopiec W. G. i złożył ustne zawiadomienie o przestępstwie (przywłaszczeniu jego dolary). Dla Komendy nie była to żadna rewelacja. Od dawna zajmowano się tym problemem, ale pchnęło to całą sprawę od razu naprzód. Przeprowadzono w szybkim tempie czynności śledcze, w wyniku których aresztowano Jana Chybowski (Jasio Bikiniarz), Mirosława Sobonia i Józefa Koltuniaka („Wujo”).

Trzech dalszych oskarżonych: Cezary Kruk, Grady i Zamojski zostało już uprzednio zatrzymanych za inne wykroczenia. Ten pierwszy — Kruk, ps. „Książę nocny”, dyktator prostytutek, „ręka prawny” szajki, były student — znajduje się w więzieniu za błądy w domu studenckim. Reszta oskarżonych odpowiadać będzie z wolnej stopy. W sprawę ich zamieszanych było jeszcze kilka osób, nie zdołano im jednak udowodnić przestępstwa.

Praca milicji została zakończona. Akta przejął prokurator.

WOLNE WNIOSKI

Gdy odrzucimy czynnik emocjonalny, sprawa ta stanie się nagle niepokojąca i bolesna. Oto odkryty został istny „gang” przestępczy, którego członkami byli tak jeszcze młodzi ludzie. Część z nich jest zdeprawowana, więc palą ją licho, ale większość to niezsuszczeni jeszcze chłopcy, jakich wielu: synowie robotników, urzędników,

niemalże ludzi z wyższym wykształceniem. Ci chłopcy mają dwa oblicza: jedno „dla domu” skromne i solidne, i drugie — dla kawiarni, gdzie przedzierzga się w „biznesmenów”, „uwodźcili” i „aferzystów” na skalę „Warszawianki” lub co najmniej „Liliane”.

W tych kawiarniach inaczej nie można. W atmosferze „wielkich interesów”, wśród zbłązanych handlarzy waluty i zdjęć pornograficznych, otoczonych wieńcem bajecznych kokotek, choćby był zwykłym Lejzorkiem Rojtszwańcem z powieści Erenburga — tutaj musisz być Rotszyldem. A żeby być Rotszyldem, trzeba mieć pieniądze, handlować. Zresztą starzy bywalcy kawiarni niechętnie patrzą na tych, którzy nie zajmują się handlem. Kawiarnie, o których mowa, dysponują jakąś potężną siłą dośrodkową, która wciąga nieustannie nowych ludzi. Jak ustrzec przed nią młodzież?

Po tej odkrytej ostatnio aferze konieczna jest natychmiastowa „czystka” w młodzieżowych kawiarniach, zakaz sprzedaży alkoholu pod jakąkolwiek postacią. Od teraz, a nie, jak wykonywano sobie na sesji MRN, od stycznia 1959 r. (bo kawiarnie nie wykonują planu!?)

Należy chyba także zmienić cały personel tych kawiarni, gdyż w lwiej większości jest on zdeprawowany i skorumpowany. Oto gdy podczas ostatniego z „nalołów” na kawiarnie funkcjonariuszka MO poprosiła na bok „Śmierdzącego Mokasyna” — ten rzucił zdjęcie pornograficzne do szatniarza, a ów z kolei oddał je „Wujowi”.

Powinno być zmiany są konieczne, może nie będą one miały decydującego znaczenia, ale trzeba wreszcie zrobić pierwszy krok.

Bywałcom kawiarni ku przestrodze: pilnujcie się, by przy transakcjach walutowych i narkotykowych nie oszukano was o kilka najpiękniejszych lat waszej młodości.

BERNARD KURTZ



str. 5 **odgłosy**

ncja ★ korespondencja ★ korespondencja ★ korespondencja ★ korespondencja ★

W związku z reportażem „Na spotkanie przygody”

84 277 WIELUN 93 14 347 1135

TELEGRAM 261 29307 1331

REDAKCJA „ODGŁOSY”

LODZ 4w/4w. 96

ODGŁOSY

DATA 2. 10.

DO

PODPISA

DZIEKUJEMY ZA INFORMACJE JESTESMY W WEZACH

WROCLAWSKI KLUB TATERNICTWA JASKINIOWEGO +

korespondencja ★ korespondencja ★ korespondencja ★ korespondencja ★

TADEUSZ GIGGIER

Nowe wiersze

Jeśli zdarzy mi się tzw. występ satyryczny (co dzieje się rzadko) i jeśli dojdzie na nim do dyskusji (co dzieje się jeszcze rzadziej), co odważniejsze panie, poruszone treścią niektórych mych fraszek, zarzucają mi wręcz, że lęzę kobiety.

Obecnie podjąłem więc próbę zrehabilitowania się wobec pici przeciwień. Próbą tą jest cykl wierszy lirycznych zatytułowany „Kobiety”. Obok związków (tematycznych) z kobietami, dopuszczam do głosu również inne związki: piszę mianowicie wiersze spokrewnione w prostej linii z „Garścią ziemi”, pierwszą i jak dotąd jedyną moją książką. Wiersze te wejdą do następnego tomiku pt. „Oczekiwanie”.

A po cichu przygotowuję do druku zbiór satyr i fraszek.



Mały koncert dziewczęcy

Oczy miała jak marcowe jezioro
pociągnięte cienką warstwą lodu.
przezroczyście i niewidzące,
pełne przedwiosennego chłodu.

Szła wahając się: jak kamieniem
przeciwstawić to wiotkie ciało?
Krok stawiała każdy ostrożnie,
jakby wiele odeń zależało.

Przystanęła. Miasto oddech wstrzymało.
Czy jej stopa dotknie znów chodnika?
Poszła dalej lekko — i wtedy
z płyt kamiennych trysnęła muzyka.

Kobieta w oknie

Czasem przemknę samochód,
przejdzie przechodzień.
W otwartym oknie o zmroku
widzę ją co dzień.

Świat z okna tak ciekawy,
tyle obietnic,
więc płonie jak pelargonja,
a pod nią kwietnik.

Nie zjeździe na dół ani razu,
z dała się ludzi.
Modli się do obrazu
ulicy, ludzi.

Czeka i wraz nie czeka,
że coś się zdarzy.
Wygląda ciągle człowieka
o drogiej twarzy.

Nie było go i nie będzie,
wie o tym dobrze.
A jutro na parapecie
znów piersi oprze.

Kobieta jedząca czereśnie

Dłonią kredowo białą
bierze czerwone czereśnie
z talerza kryształowego,
co w świetle skrzy się rubinem.

Raz po raz niesie do ust
pękniętych jak owoc dojrzali
ogromne, jędrne korale
spłątane sznurkami gałązek.

Tym gestem łamie zgorzzone
spójrznie śledzących przy stole
i kruszy konwenanse,
obojętnie jak chróst.

Tak Ewa sięgała po jabłko
żarłocznie i ciekawie,
lecz u tej czerwieni czereśni
z czerwienią ust i paznokci
stopiła się w krwawą plamę.

Wyrzucony przez fale z Oceanu Poczucia
do pewnego kraju, na pewien bruk,
zabłąkany w zaułku,
który podmywa Martwe Morze,
coż czynię, zanim znów stanę się ruchem fal?
Krok jeden — powszechne zdziwienie,
krok drugi — zakłopotanie,
krok trzeci — eksplozja śmiechu.
Jakąż uciechę macie wy wszyscy wyglądający z okien.

KOCHANY REDAKTORZE!

Dziękuję Ci, że zrobiłeś tylko osiem błędów w moich wierszach umieszczonych w nrze 18 „Odgłosów”, a więc przeciętnie dwa błędy na jeden utwór. Proszę Cię więc bardzo o sprowadzenie owych błędów na łamach Twego poczytnego pisma. Oto one:

W wierszu pt. „Europa” — nie „kaminne karki”, lecz „kaminne karki”, w wierszu pt. „wiatr” — nie „rozwiązanych w obłoki”, lecz „rozwiązanych w obłoki”; poza tym w tymże utworze jest całkiem zbędna linijka „nasłuchujący szelest jej włosów”, w wierszu pt. „wiek wojen” nie potrzebny odstęp w środku tekstu. I jeszcze drobniaczko: „Hłob” należy zmienić na „hłob” i zniszczyć kropki w końcu wierszy „wiek wojen” i „sen” — aczkolwiek w wierszach nie używam dużych liter i znaków interpunkcyjnych.

LEON GOMOLICKI

Jest czterech Brzozowskich w literaturze polskiej. Poeta Karol — najstarszy z nich i najdawniejszy — prawie zupełnie już dziś zapomniany, a niedoceniany i za życia — autor „Nocy w Anatolii”, „Lwa ognistego” i wielu innych poematów opartych przeważnie na motywach Bliskiego Wschodu, gdzie długo przebywał; zmarł we Lwowie w 1904 r. jako osiemdziesięcioletni starzec.

Został on dwóch synów — równie jak ojciec, a może nawet więcej utalentowanych. Wincenty Brzozowski, autor „Duszy mówiącej”, pisywał poezję i po polsku, i po francusku; te ostatnie pod pseudonimem „Vincent de Corab” w Paryżu. Wspomina o nim Boy-Zeleński w zbiorze swych szkiców pt. „W Sorbonie i gdzie indziej”.

Drugim z synów Karola, Stanisław Brzozowski, poeta, był — lub raczej dopiero miał właściwie zostać sekretarzem zakładanej przed przeszło pół wiekiem „Chimery” Miriama, ale sekretarzem tym być na dobre nie zdążył, wystrząsał z rewolweru położywszy kres swemu smutnemu życiu. Samobójstwo to łączyło się podobno jakoś z pierwszą żoną Przybyszewskiego, piękną Norweżką Dagny, lecz czy i jak to było, nie mam o tym bliższych wiadomości, a poplek, które mi na ten temat opowiadał autor „W ślepi”, Jan August Kisielewski, powtarzać tu nie chce.

I otóż tego poety Stanisława Brzozowskiego nie należy łączyć z Leopoldem Stanisławem dwóch imion Brzozowskim, głośnym niegdyś krytykiem i filozofem, który drugiego swego imienia — Stanisław, z czasem wyłącznie używać zaczął w swym burzliwym i nieszczęsnym życiu. Tego — czwartego — Brzozowskiego znalazłem naprawdę blisko i nawet jako jeden z niefelicznych umiałem odcyfrować jego pismo o charakterze równie dziwnym i zawiłym jak psychika jego. Był redaktor „Przeglądu Filozoficznego” Weryha aż do Heidelbergu przysłał mi był kiedyś z Warszawy pewien rękopis Brzozowskiego już po jego śmierci, ponieważ żaden zecer artykułu owego złożyć nie potrafił.

Ludzi bez wad i przywar, jak wiadomo, nie ma; los chciał jednak, by temu Leopoldowi Stanisławowi Brzozowskiemu, ze zwykłych wad ludzkich uczyniono występek i nawet gorzej — zbrodnię!

Kto zna — a zwłaszcza kto znał ongi w zamierzczłej już dziś epoce Polski burżuazyjnej — literatów i w ogóle artystów, ten wie dobrze, iż brać artystyczną są to w sprawach pieniężnych, szczególnie zaś byli podówczas, ludzie — jakby to powiedzieć ściślej, nie przesadzając — mało uporządkowani i czasem nawet jakby niedorozwinięci. Gdy chodzi o Leopolda Stanisława Brzozowskiego, to pamiętam na przykład następującą scenę.

Pokój w redakcji znanego wówczas tygodnika „Głos” w Warszawie, którego jednym z filarów był Brzozowski, a gdzie i ja również umieszczałem niekiedy swoje pierwociny. Redaktor tego pisma, psycholog i pedagog J. Wł. Dawid, w mojej obecności rozmawia z Brzozowskim.

— Proszę pana — z zakłopotaniem mówi doń — tak nie można, naprawdę nie można... Przecież pan tę swoją jeszcze nawet nie napisaną powieść już dwa razy sprzedał dwóm rozmaitym firmom. Co pan z tym myśli począć?

A na to Brzozowski, jak gdyby nie dosłyszał i jakby o czymś zgola innym była mowa:

— Wie pan, panie redaktorze, że mnie się zdaje, iż w tym sporze o Kanta i „Ding an sich” to jednak szkola marburska Cohena kto wie, czy nie ma racji...

Pod względem piehienym Brzozowski był znany ze swej małej poczytności. Już jako student uniwersytetu miał on taką sprawę.

Jako niezwykle miły i ujmujący człowiek, a umysł wprost niewyłąk, chyba genialny niemal, cieszył się on powszechnym u kolegów mi-

rem. W stowarzyszeniu studentów powierzono mu jakieś tam funkcje, z którymi łączyło się również zawiadywanie finansami. A że Brzozowski znalazł się wówczas w sytuacji materialnej nad wyraz ciężkiej — miał śmiertelnie chorego niezamożnego ojca — wydał przeto pieniądze publiczne na swoje rodzinne potrzeby. A gdy rzecz ta przy jakiejś rewizji wyszła na jaw, Brzozowski zachował się w sposób tak nieprawdopodobnie, komicznie wprost, naiwny, że wprowadził swych kolegów rewidentów wręcz w zdumienie i niemal w osłupienie — aż zaniemówili... A jak to było, kto chce, może przeczytać w moim artykule — jeżeli go odnajdzie. Gdy bowiem i tę sprawę wspomniano kiedyś później Brzozowskiemu, robiąc zeń defraudanta, zjawili się u mnie w imieniu znacznego odłamu byłych jego kolegów uniwersyteckich inżynier Ocetkiewicz, jeśli nie mylił mnie pamięć, oraz paru innych z prośbą, abym ja, jako dobry znajomy Brzozowskiego i piórem już podówczas nienajgorzej umiejący władać, zreferował dla nich i za nich to zajście na piśmie.

Uczyliłem to chętnie. Rzecz była drukowana w nr 23 (655) „Wiad. Liter.” z 24.V. 1936 roku, a z treści owych wyjaśnień koleżeńskich — tego do dzisiaj jestem najzupełniej pewny — niezbitnie wynikało, iż z właściwą i pospolitą nieuczciwością sprawa ta miała również mało wspólnego, jak, dajmy na to, chorobliwa kleptomania z kradzieżą, i bodaj że

KAZIMIERZ BŁESZYŃSKI

Znałem Brzozowskiego



prawda, niekiedy nie trafiając, ale mimo to pięknie, gdy o Szopena chodziło, od wielu pianistów zawodowych (z wyjątkiem jednego może Sliwińskiego). I w kilka dni później, po doręczeniu Brzozowskiemu zebranej wcale pokładnej sumki przekonał się, że większa część pieniędzy wydana została zaraz na zakup wprost całego stosu zabawek dla Irki, a w mieszkaniu były w dalszym ciągu pustki — bezmeblowe pustki, i tylko przyniesiony dla Irki przez towarzysza Antka Kudłatego jeź, pazurkami stukając, po dawnemu wzdłuż pustych ścian dreptał. Podobnych przykładów finansowej gospodarki Brzozowskiego więcej przytoczyć by można.

Wszelako te i inne podobne jego wady nie mogły zadawać miara ani wyrozumiałości, ani tym mniej w najmniejszym nawet stopniu usprawiedliwić nikczemnej potwarzy, którą nał później, z czasem, ze względów politycznych rzucił jego wrogowie z prawicy; działalność Brzozowskiego była im solą w oku. Więc, jak wiadomo, tego człowieka niebezpiecznika, ciężko chorego, ciężko pracującego i całe życie przez los ściganego, podłość rzekomo ideowych jego przeciwników oskarżyła o to, że pozostawał on przez lata całe na usługach carskiej ochrony warszawskiej, czyli innymi słowy, że był on, po prostu mówiąc, szpiegiem! A sąd, który w tej sprawie zebrał się był w Krakowie na żądanie Brzozowskiego, skończył się na niczym i ostatecznego wyroku nie wydał. Kto ciekaw jest tej hańbie — oczywiście tylko dla oskarżycieli — sprawy, ten niechaj przejrzy sobie chociażby roczniki czasopisma „Wiadomości Literackie” z lat dwudziestych, a najłżejszego cienia wątpliwości mieć



Autoportret

Bernard Buffet

„Smutny” Bernard Buffet należy wciąć do najpopularniejszych ludzi Paryża, choć Paryż nie bywa wiernym swym wybrańcom, choć popularność, jak miłość, trwa tam rzadko dłużej niż sezon. A przecież niejednokrotnie wrócono Buffetowi, że jego sława będzie sławą ledwie paru sezonów. Lecz młody ten człowiek o grzecznych wygładzie, uciekający z metropolii artystów do niedawno kupionego wspaniałego zamku, został już uznany przez krytykę za wielkość nieprzemijającą. „Buffet stworzył swój styl” — pisze o nim historyk sztuki Pierre Descarques. — To właśnie Buffet będzie tym, który zajmie miejsce Picassa.

Pochlebne recenzje nie wzruszają malarza. Otoczony rzeszą lokajów, zmieniający jak przysłowiowe rękawiczki auta, za które płaci zawrotne sumy, trzyma się z dala od ludzi, hordując jednocześnie snobistycznym zachowaniem. Dla ulubionej małpy Pepi'a buduje wspaniały pawilon, dla psa Apollina kupuje olbrzymi las. Najdroższemu krawcowi w Londynie przysyła pewnego dnia zamówienie na 50 ubrań, w które prawdopodobnie nigdy się nie ubierze. W Paryżu, w najdroższym hotelu Ritz'a wynajmuje apartament za bajkońską sumę, choć nigdy tam nie ma zamiaru zamieszkać.

Złośliwi twierdzą, że snobistyczne te ekstrawagancje mają na celu zwrócenie uwagi publicznej, są chwytami reklamistycznym. Jeśli tak, to Buffet osiąga swój cel. Na ostatniej dorocznej wystawie, już w chwili jej otwarcia, pod wszystkimi obrazami wisiały wydruki „sprzedane”. A milionerzy amerykańscy i bankierzy francuscy na próżno błagali malarza o jakikolwiek choćby szkic. Buffet — postać zda się jakby wymyślona przez mniernego romansopisarza, zbywał ich wzruszeniem ramion. Nie czekając na wypowiedzi krytyki, wrócił do swego zamku, by dalej malować swe anemiczne akty i martwe krajobrazy.

Malarstwo Buffet'a, w jakiś przeraźliwy sposób trafiło w nutę naszej epoki. Z tych płócien, utrzymanych w tonacji szarej, zda się, bezbarwnej, wiele beznadziejnością i strachem — jak określił jeden z kryty-

ków — „zapachem śmierci”. Jest to malarstwo epoki, w której ludzkość poznała grozę zagłady atomowej, w której człowiek jest świadom beznadziejności swego losu. Buffet jest więc w malarstwie wyrazicielem tych tendencji, jakie w literaturze reprezentują Kafka i Beckett.

Historycy sztuki doczekują się w jego malarstwie wpływu Francisco Goyi, szczególnie sławnej serii grafik pt. „Okropności wojny”. Inni uważają, że Buffet jest spadkobiercą tradycji niemieckiego gotyku, a nawet Heronima Boscha. Przeciwnicy twierdzą, że Buffet to grafik a nie malarz. Moralisci dopatrują się w jego twórczości nihilizmu.

A Buffet nie zwraca uwagi na polemiki, jakie toczą się wokół jego dzieł — maluje. Maluje bez przerwy od roku 1943, z benedyktyńską pracowitością, tworząc płótno za płótnem, które handlarze natychmiast sprzedają za zawrotne sumy. Maluje od śmierci matki, kiedy to wstrząśnięty tą stratą, w ciągu jednej nocy, zalewając się łzami, stworzył swe pierwsze, już dojrzałe w formie dzieło „Ukrzyżowanie” — szare i czarne, pozornie pozbawione barwy, a przecież posiadające wstrząsającą siłę ekspresji. Po tym pierwszym obrazie powstawały inne, utrzymane wciąż w tym samym stylu, przez złośliwych nazywanym manierą. Malarz cierpiący wiele lat niedzę i głód, zjadający chleb przeznaczony do wycierania rysunków węglem, trawiony przez gruźlicę, malował nieustępliwie i z tą pasją manjaka, której w niczym nie zmieniły miliony, jakie zaczął zarabiać, gdy twórczość jego odkrył najwybitniejszy paryski handlarz dzieł sztuki — David. A dziś, gdy wszędzie byłby reporter zagadnie go o wpływ dobrobytu na twórczość, spotka się ze wzruszeniem ramion. Buffet wsiada do swego „Rolls-Royce'a”, odpowie — „Pieniądze nie mają wpływu na twórczość. Dobre obrazy powstają niezależnie od nędzy czy dobrobytu twórcy”. A na pytanie, czemu jest zawsze smutny i czemu smutne są jego obrazy, mruknie tylko — „Mój panie, sztuka wcale nie jest wesoła”.

STEFAN MICHAŁOWSKI

nie będzie, że było to tylko nikczemne oszczerstwo dla utrącenia wpływów, zwłaszcza wśród młodzieży, bardzo niewygodnego i dokuczliwego wroga lewicowca.

Osobiście ja w tej sprawie żadnego udziału nie brałem — lub tylko minimalny. Przeżywałem w tym czasie ciężki kryzys duchowy — przechodziłem z jednej do drugiej fazy socjalizmu. Siedziałem przez czas dłuższy w więzieniu warszawskim razem z Feliksem Perlem, głośnym popesowcem, który był członkiem sądu nad Brzozowskim i do którego miałem głębokie zaufanie. Z Brzozowskiego zaś byłem w owym czasie mocno niezadowolony, bo gdy wiedząc, jak dobrze włada on rosyjskim, oraz jak ciężko było mu żyć we Włoszech, zaproponowałem mu, aby pisywał dla mnie artykuły do pisma rewolucyjnego „Soldatskij listok”, które dla żołnierzy armii rosyjskiej podówczas wydawałem, sam je najczęściej w całości zapisując; kiedy chciałem wydatnie wesprzeć Brzozowskiego, rozporządzałem bowiem funduszami ogólnorosyjskiego oficerskiego związku rewolucyjnego — Brzozowski na tę moją propozycję tak dla nas obu, zdawało się, wygodną, nic mi z

Nervi, gdzie bawił, nawet nie odpowiedział. Nie przypuszczając tedy ani na jedną chwilę, aby podobnie niecne, białymi niemi politykierstwa szyte oskarżenia mogło naprawdę mu zaszkodzić, na wezwanie sądu nad nim napisałem ledwie kilka dość obojętnych słów krótkiego listu. I dziś żałuję tego.

A przeto, zanim wkrótce i ja już odejdę — jako jeden z ostatnich przy życiu będących świadków, którzy Brzozowskiego znali blisko i dokładnie — chcę spełnić na tym miejscu spóźniony obowiązek i słowem na cześć przeżył całe długie życie, ręczę, że nikt z tych wszystkich, którzy Leopolda Stanisława Brzozowskiego znali naprawdę bliżej, ani na jedną chwilę nikt z nas nie wierzył nigdy w winę rzekomego szpiegostwa jego. Trzeba było po temu tylko tak nieszczęśliwych chaotycznych stosunków, które w Polsce ówczesnej panowały, aby ta sprawa mogła być tak się na niczym ze śmiercią Brzozowskiego skończyć.

Sprawa ta jest brzydką, bardzo brzydką plamą, ale nie na Brzozowskim, tylko na naiwnym Burcewie, na Bakaju i na ówczesnych stosunkach polskich.

KAZIMIERZ BŁEZYŃSKI



Pierwsza premiera TZL 2.X.1953 r. Bogumilowice. „Damy i Huzary”, reż. K. Czyński.

TEATR PARIASÓW

Lat temu pięć powstał teatr. Lat temu pięć przybyła Łódź jeszcze jedna placówka, która nazwano Teatrem Ziemi Łódzkiej. Specjaliści od zapisywania wydarzeń kulturalnych skrzętnie zanotowali ten fakt w niezliczonej ilości formularzy i załączników. Teatr zaczął pracować. Wystawiano premierę za premierą i spektakl za spektaklem. Około 711 tys. widzów oglądało prace zespołów. Mijały lata. Przyszł rok 1958, a z nim pięćdziesiąt prac Teatru. Około 3 tys. przedstawień, z którymi docierano do najmniejszych miasteczek województwa i kraju, poradnictwo dla zespołów amatorskich i pomoc udzielana tym zespołom, stworzenie niezwykle zwartej i wytrwałej kolekcji — oto osiągnięcia Teatru i jego dyrektora p. Stefana Domańskiego.

Teatr, to zespół wyszczególnionych członków, które składają się na jego całość: aktorzy, lokal, dekoracje, kostiumy i tabor samochodowy. Członcy te umożliwiają jego istnienie i działalność. Tymczasem TZL pracował bez wielu z tych elementów. Dopiero w tym roku zespół uzyskał stały lokal, który jest w tej chwili remontowany. Obecny adres Teatru: Łódź, ul. Kopernika 8. Nareszcie dyrekcja Teatru dysponuje sceną z niezłym zapleczem, garderobami, oraz tak wielkim udogodnieniem dla zespołu jakim jest prysznic. Sala — kameralna, stwarza miły i ciepły nastrój. Aktorzy mają wreszcie swój dom i to jest niewątpliwie duży sukces.

Są natomiast kłopoty, i to bardzo poważne, jak np. brak samochodu osobowego, nieodorganizacji i kontroli widowisk. Nie zapominajmy, że TZL, to teatr obywateli. Inna troska dyrekcji Teatru, to brak mieszkań dla aktorów.

Rozmawiałem z dyr. Domańską. Mówiliśmy o trudno-

ściach terenowych, w jakich zespół pracuje. Małe scenki mieszczące maksimum siedem osób, brak jakichkolwiek prymitywów nawet garderób, chłód i niewygoda — oto warunki pracy Teatru nagradzanego tylko wdzięcznością tych, którzy oglądają jego spektakle. Bardzo poważnym błędem jest stosunek aktorów innych teatrów do aktorów Teatru Ziemi Łódzkiej. Stosunek ten przypomina postępowanie faryzeusza z żebrakiem. Aktorzy TZL to pariasy, na których się patrzy z pogardą. Nie rozumiem tylko dlaczego? Chyba dlatego, że pracują w warunkach, w których aktor „normalnego” teatru nie potrafiłby się znaleźć (nie mówiąc już o pracy), że spełniają piękne zadanie docierania ze sztuką do ludzi w najbardziej opuszczonych zakątkach naszego kraju.

Dwudziestego ósmego czerwca w nowej sali Teatru Ziemi Łódzkiej odbyła się premiera „Zaczarowanego koła” L. Rydla. Mam wrażenie, że premiera ta będzie zwrotnym punktem w historii Teatru — tym razem już całkowicie in plus.

W planach Teatru przewidziano takie pozycje, jak adaptacja „Faraona” B. Prusa, „Chłopów” W. Reymonta i montaż regionalny o tematyce regionu sieradzkiego lub łowickiego. Dyrekcja Teatru nosi się z zamiarem rozpisania małego konkursu na współczesną sztukę polską. Aczkolwiek to tylko plany, mam nadzieję, że będą zrealizowane.

Ostatnio TZL otrzymał zaproszenia z Opery Leśnej w Sopocie, gdzie pokaże sztukę Ede Szigligetiego pt. „Liliomfi”, oraz z Poznania, gdzie pokaże „Zaczarowane koło” L. Rydla. Jest to chyba wystarczający dowód uznania dla pracy i poziomu artystycznego Teatru.

HUBERT STEN



Ostatnia premiera TZL. Ede Szigligeti — „Serce nie służy”, reż. Janusz Rzeszewski, sceno grafia — E. Nahlík



Streszczenie z poprzednich numerów:

W lesie, pod wodzą Czarnego Matwieja, grasuje zgraja zbójców. Po obrabowaniu rybaków przygotowuje się do napaści na barona Caruso-Hydrargir, wielkiego miłośnika kobiet, więc co za tym idzie, podłego uwodziciela, recenzenta muzycznego, obszarnika i mistrza sztuki chirurgicznej w jednej osobie. Banda urozmaica sobie czas, dzieląc ją od napaści, śpiewaniem przeróżnych a'li, popisami baletowymi itp. Oto nowa garść tych prawdziwych klejnotów śpiewno-muzycznych.

Wprowadzenie

Czarny Matwiej podniecony śpiewem swych kamratów dobywa z pakownych kabur dwa pistolety i w czasie wykonywanego sola baletowego trafia celnymi strzałami w rzucające przez towarzyszy talary, karty do gry, baloniki, wyciąga z zanadru plik pośmiesznych gazet i zrazu śpiewa drobne ogłoszenia w rodzaju:

„Zginął ples, do którego bardzo mocno była przywiązana pewna pani”,
„Poszukuję taniego pokoju kawalerskiego w śródmieściu z wygodami”,
„Wypożyczę pralkę na obie ręce”, potem do wtóru murmuranda chóru zbójców śpiewa list gończy, w którym jest naznaczona bardzo wysoka cena za jego głowę.
Kończy gończy list słowami:

Czarny Matwiej



Ha, pomnę, pomnę te złote czasy, dawniej inaczej się żyło, się do opery jeździło karetą, szampan wiadrami się pilo.

Stara Matylda, skoro ujrzała w karcieci twarz mej Walerii, na uwerturze do „Parsifala” dostała ataku hysterii.

Cztery chórzystki, które się o mnie, pobity raz z primadonną, na śmierć się trwały prosiłem nasennym, gdy wróciłem z kochanką konno.

Sława kamraci!... kamelle, dalie, entuzjazm sufity lechta, a w „Wiadomościach Muzycznych” pisze Caruso: „To śpiew? To nie śpiew?... to brechta”.

Hrabowie w czerni, księżniczki w bieli, lordowie w błękitnych jedwabach a nasz Hydrargir pisze: „Tremola śpiew to stękanie przy grabiach”.

Stękanie? Czeka! Dzisiaj zobaczysz, bo twój to lancet, twe wargi... ty podły lotrze, uwodzicielu, kiepski chirurgu, Hydrargir.

(Zastania sobie twarz połą marynarki i płacząc śpiewa)



Ach, bracia, sędzie, ach, bracia, szpital, ach, nućcie mi pieśń zbójczą! Dzisiaj w finale vivace Matwiej pomści Walerię i dziecko.

Słowo wiążące:

Czarny Matwiej nie jest zbójcą od urodzenia, Na występną drogę pchnął go...

(Dalszy ciąg w następnym numerze)



Najostrzejsze OLÓWKI ŚWIATA

COBEAN

Dowcip rysunkowy przechodził interesującą ewolucję. Najpierw rysunek był tylko ilustracją żartobliwego tekstu. W następnym okresie — dopiero w XX wieku — tekst i rysunek zaczęły się wzajemnie uzupełniać. W latach czterdziestych Amerykanie wprowadzili nowy gatunek: dowcip bez podpisu.

W tym rozwoju osobną, własną kartę ma amerykański rysownik Sam Cobean, uważany za wynalazcę nowego gatunku, nowej konwencji żartu obrazkowego. Wiemy chyba wszyscy, jak rysowane są amerykańskie „comicsy”. Przeważnie obywają się bez żadnych komentarzy. Natomiast teksty dialogów lub sformułowane w tekst myśli bohaterów wpisywane są w mały obłoczek nad ich głowami. Czasami są to teksty niezwykle lapidarnie: duży wykrzyknik — oznacza zaskoczenie bohatera, znak zapytania — zdziwienie itd.

Z tych doświadczeń skorzystał Cobean i wprowadził „obłoczki” do swych dowcipów. Z tą tylko różnicą, że nie wpisuje tam żadnych tekstów, a rysuje w nich myśli przedstawionych postaci. Albo też: co owe postacie widzą. Cały problem wyjaśniają najlepiej reproduktowane obok dwa typowe żarty Cobeana. Swego „wynalazku” dokonał Cobean w czasie wojny. Od razu zyskał ogromną popularność: ekskluzywny „New Yorker” zaliczył go do stałych współpracowników.

Wkrótce też wielu innych rysowników zaczęło z powodzeniem stosować konwencję „myśli w obłoczkach”.

Wynalazek Cobean nie jest tylko chwytliwym formalnym. Rozszerza on ogromnie zakres możliwości humoru rysunkowego — o sferę myśli i subiektywnych wyobrażeń. Żart obrazkowy mógł wyjść poza pokazywanie zewnętrznych, postrzeganych zdarzeń. Mógł pokusić się o lapidarnie przedstawienie zabawnych kontrastów między myślą a czynem bohatera.

I nie darmo najczęściej przewijają się w żartach i historyjkach Cobeana postacie jasnowidzów i ludzi „pod muchą”.

J. W.



KARL KRAUS

Krytyka teatralna

Niech wnuknie w świat teatru bliski,
kto wiedzieć chce jak świat się drani.
Ci, co kapują najmniej z wszystkich,
są do sądenia powołani.

Chwilić kapryśnie, tępić głupio —
z gotowym zdaniem każdy chodzi.
Choć wszystkie mózgi wraz się skupią
nawet się jeden z nich nie zrodzi.

Ich misja — cały lud oświecać,
narzucać zdanie każdej grupie.
Drukują sądy (co za heca!),
Te, które sami mają w d...

Przełożył JAN KOPROWSKI

JAN IZYDOR SZTAUDYNGER

Po powrocie z cyrku

Już miałem chętkę zabić tę pchłę.
Lecz jeśli to artystka, artystka z Variete...

Bierny opór

Dopomoga kupry kuprom
Gdy się tak zbiorowo uprą.

Milczenie

Dopiero te fraszki cenię,
Co są wymowne — jak milczenie.



STANISŁAW BOROWKIN

Nagrobek humoryście

Tu leży humorysta
co się struł kompotem.
Przechodniu, za jego duszę
powiedz anegdotę.

GOLONO STRZYŻON

KTO MOŻE STRZELAC?

Jak wynika z opublikowanego w Kuala Lumpur (Federacja Malajska) rozporządzenia, broń palną mogą nosić bez specjalnego pozwolenia jedynie żołnierze, policjanci oraz właściciele lokali rozrywkowych czynnych przez całą noc.

tóż obecnie powoływani będą także studenci i nauczyciele, do niedawna wolni od tego obowiązku.

WSTRĘT DO DENTYSTÓW

Według obliczeń wybitnego stomatologa amerykańskiego, Rolfa Chartona, około 70 milionów obywateli USA nie było nigdy u dentysty, a 21 milionów nie ma ani jednego zęba.



PRECZ Z BRZUCEM

Szef Egipskiego Państwowego Wydziału Sztuki zarządził, iż tancerkom egipskim nie wolno będzie „czyścić z brzucha głównego punktu tańca” i że będą mogły występować jedynie w jednolitych, a nie w dwuczęściowych, jak dotąd, kostiumach. Posunięcie ma na celu „poprawić opinię o Egipcie”.

PROTEST

Jak donoszą z Rzymu, władze watykańskie zaprotestowały przeciw reklamie firmy francuskiej produkującej koniak „Dujardin”. Chodziło mianowicie o to, iż rysunek reklamowy przedstawiał diabła i anioła, obejmujących się czule nad butelką koniaku.

KLASYFIKACJA

Według pewnego japońskiego psychiatry, nazwiskiem Takenosuke Ikematsu, który zajmuje się badaniem zjawiska chrapania u ludzi — chrapanie dzieli się na trzy zasadnicze grupy: gwizdanie, chrapanie właściwe oraz ryk senny.

SLADEM OJCA

Córka pierwszego sekretarza SED, Waltera Ulbrichta, zdążyła ostatnio w Berlinie maturę, osiągając celującą ocenę, co pozwoliło jej wziąć udział w uroczystości dla najlepszych niemieckich uczniów.

KŁOPOT

Niedawno rozesłała się pogłoska, jakoby książki Françoise Sagan miały zostać obłożone klątwą. Inkryminowana literatka oświadczyła, że bardzo by ją to zmartwiło, jako że wielu gorliwych czytelników jej utworów rekrutuje się spośród zakonników i księży.

AZYL

W ostatnim czasie wyszło na jaw, iż człowiek nazwiskiem Forreep, pełniący przez długi okres obowiązki szefa policji paragwajskiej — jest niebezpiecznym przestępcą, poszukiwanym bezskutecznie od dawna przez policję całej Południowej Ameryki.

REKLAMA

Stowarzyszenie Ruchu Zagranicznego na Wyspie św. Heleny werbuje obecnie turystów przy pomocy następującego sloganu: „Na Elbie Napoleon nie mógł wytrzymać — ale u nas pozostał”.



ZMIANY

Parlament republiki San Marino rozpatrywał niedawno projekt ustawy, przewidującej poważne zmiany w trybie powoływania mężczyzn do milicji republikańskiej, której formację liczą ogółem 800 osób. O-

O PRAWA SOCJALNE

Komornicy działający przy sądach NRF wystąpili z żądaniem, by przyznano im specjalny dodatek służbowy z uwagi na szczególne trudności i „nieustanne napięcie nerwowe” właściwe ich pracy. W konsekwencji tego napięcia kilkunastu komorników rocznie umiera podobno na udar serca.

HRABIA POSZUKIWANY

Ogłoszenie z londyńskiego „Timesa” z 19 maja 1958: „Amerykańska firma o dobrej reputacji poszukuje hrabiego lub księcia, który na cocktail-party w Londynie podejmowałby amerykańskich gości”.

ULATWIENIE



Praca współczesnych misjonarzy, dzięki zdobyciom techniki, jest o wiele łatwiejsza niż niegdyś. Jak donoszą z Watykanu, dotychczas wyprodukowano ponad milion płyt w 1800 językach i naczyniach, przeznaczonych dla misjonarzy katolickich.

REFORMY

Angielska Izba Lordów uchyliła ustawę z roku 1677, przewidującą karę śmierci przez spalenie na stosie dla osób, zajmujących się przepowiadaniem pogody.

POSADA DLA SORAYI

Przedstawiciel pewnej firmy nowojorskiej, która pragnie zaangażować ex-cesarzową Sorayę do reklamy telewizyjnej, oświadczył: „Ma ona właśnie usta, jakich od dawna szukamy, ażeby reklamować szminki oraz pastę do zębów”.

OPINIA

Znany amerykański kaznodzieja, Billy Graham, oświadczył w jednym ze swych kazań wygłoszonych w Chicago: „Żadne stulecie nie gloryfikowało seksu tak bardzo jak nasze, tak mało zarazem zeń korzystając”.

SZCZĘŚCIE

„Dzień, w którym zwolniony zostałem ze stanowiska w NATO, był najszczęśliwszym dniem w moim życiu”. Takie oświadczenie złożył Bernard Montgomery, marszałek brytyjski i do niedawna zastępca dowódcy naczelnego sił zbrojnych paktu północno-atlantycznego bezpośrednio po ustąpieniu z tego stanowiska.

LECZENIE

Pewien młody człowiek został przewieziony do szpitala we Flensburgu z ciężkimi objawami zatrucia. Kiedy po dłuższych zabiegach chorego odzyskał przytomność, powiedział lekarzom: „Aby móc zasnąć, użyłem 3 tabletki nasenne. Aby rano znów się obudzić, zażyłem 3 pigułki pobudzające. Aby zaś od tak wielu pigułek nie dostać bólu głowy, zażyłem znów 3 odpowiadające pigułki”.

DLA SPRAWY POKOJU

Warenfried van Straaten, duchowny katolicki, oświadczył w czasie kazania w Hamburgu: „Papież skończył 82 lata, ale wiem, że mimo to uczy się rosyjskiego. Czyń to dla sprawy pokoju”.

SPÓR

Przed sądem w Rzymie odbędzie się wkrótce proces wytoczony przez magistrat przeciw ministerstwu skarbu. Chodzi mianowicie o ustalenie, do kogo należą monety wrzucane zgodnie z tradycją przez turystów do sadzawki z fontanną.

ZMIANY W PROGRAMIE

Z początkiem nowego roku szkolnego w programie szkół średnich w Zjednoczonej Republice Arabskiej wprowadzona zostanie nauka języka rosyjskiego. W znacznej części nauczyciele sprowadzeni zostaną z ZSRR.

FILANTROP

Pewien przedsiębiorca pogrzebowy w Nowym Jorku oznajmił, że wykona za darmo luksusowe trumny dla monarchów, którzy zostali zmuszeni do opuszczenia swych tronów. Przedsiębiorca dodał, że czyni to dla zademonstrowania swej solidarności z królami, pozabawionymi korony.

GOLONO STRZYŻON

— 46 —



Znów się naradziłem z kolegami.
— Jeśli pozwolisz, pani — zaproponowałem — to podzielimy się na trzy grupy. Jest nas dwudziestu dziewięciu, bo jeden z naszych przyjaciół zginął. Niech więc będą dwie grupy po dziesięciu ludzi i ostatnia, licząca dziewięć osób. Każda grupa będzie miała tydzień czasu na zwiedzanie, przy czym następna nie może wyruszyć, dopóki poprzednia nie wróci.
— Czemuż to tak? — uśmiechnęła się.
— Już tylu naszych ludzi tutaj zginęło — powiedziałem — że musimy zachować środki ostrożności.
— To jest zbędne — rzuciła. — Nigdy nikogo nie zatrzymaliśmy. Tak samo i teraz. A co będzie, jeśli naszym ludziom tak się spodoba u mnie, że nie będą chcieli wracać?
— Jeśli to oświadczyć oficjalnie — odrzekłem — to, rzecz prosta, nikogo nie będziemy zmuszać do powrotu. W naszym społeczeństwie panuje zupełna wolność i każdy jest panem samego siebie.
— Jest pani tak niezwykle i tak urzekającym zjawiskiem — zacząłem po chwili namysłu — że czuję się onieśmielony z podziwu i zachwytu... Czy mógłbym pani zadać kilka pytań? Czy mógłbym liczyć na odpowiedź?
— Proszę — odrzekła. — Zobaczymy.
— A więc jest pani Ziemiaką, Człowiekiem, kobietą Ziemi... Jak więc znalazła się pani na Marsie i została królową Marsjan?
— Oczywiście, tajemniczo i, jak mi się wydawało, ironicznie. Miały teraz barwę ciemnego szmaragdu.
— Na to pytanie trudno mi w tej chwili odpowiedzieć. Dowiedzie się o tym w odpowiednim momencie.

— 47 —



— Czy pani ma coś wspólnego ze starożytnymi Atlantydami?
— Nie.
— W jaki więc sposób, nie będąc pszczołą, lecz człowiekiem, może pani panować nad społeczeństwem pszczoł?
— Pszczoły mnie obrały swoją królową.
— Dlaczego pani mówi po grecku, ubiera się na modę grecką i zwie się Aspazją? To mi przypomina, że nasz stary Vittulen przestrzegał nas przed kobietą, której imię kończyło się na „azja”. Czyżby to pani była tą kobietą, która wymordowała wszystkie nasze ekspedycje?
— O mordowaniu nie wiem. Natomiast istotnie jestem Greczynką.
— To wszystko jest zadziwiające — dodałem. — To imię przypomina mi inne imię równie pięknej i niezwykle mądrej Greczynki. To była Aspazja, kochanka wielkiego wodza Greków — Peryklesa. Imię jej przez długie lata było sławne na całym świecie.
— Królowa dumnie uniosła głowę i bardziej wyprostowała swą kształtną postać.
— To ja jestem Aspazją z Miletu, córka Aleksachosa, kochanka Peryklesa i przyjaciółka Sokratesa. To ja, ateńska krasomówniczka. To mnie zwano „Junoną”, podobnie jak Peryklesa „Zeusem Olimpijskim”. To moim imieniem Cyrus Młodszy nazwał swoją kochankę. O mnie pisano książki i poematy. Jam jest królową Marsa!
— Jak to! — krzyknąłem. — Przecież Aspazja dawno już umarła! Od kilku tysięcy lat nie żyje!
— Pogardliwie wyduła swoje piękne usta.
— Marny człowieku — rzekła — nie nie wiesz. Uśmiechała się tajemniczo, mierzając mnie chłodnym

— 48 —



spojrzeniem zielonych oczu. Byłem zbyt oszołomiony, aby dalej dyskutować.
— Och — zaśmiała się przekornie. — Wszyscy mnie będziecie kochać nad życie. Będzie dla was życzliwa i pokaże wam dużo ciekawych rzeczy w swoim państwie.
— Nie zatrzymasz nikogo, pani? — zapytałem.
— Kto zechce, ten zostanie. Kto zechce, ten mnie opuści — odpowiedziała dwuznacznie.
— Omówiliśmy miejsce i czas lądowania pierwszej grupy naszych marsjańskich turystów.
— Chwilę wodziła wzrokiem po nas wszystkich, a z berła jej sączyły się zielonawe promienie. Zaśmiała się jakoś dziwnie. Wydawało mi się, że ostro i szyderczo, ale inni twierdzili, że miękko i poważnie.
— Musiała w końcu przerwać połączenie, bo postać jej nagle znikła. Ekran zamigotał i zaraz powrócił do swej zwykłej różowosrebrzystej białości.
— Choć już jej nie było — urok ciągle trwał. Byliśmy wszyscy pod wrażeniem tej urzekającej kobiety. Powtórzyłem kolegom całą moją rozmowę z Aspazją. To wszystko było wprost nie do wiary.
— Oczywiście Carrocci błyszczały ponuro.
— Ona jest wspaniała — oświadczył — równie pięknej kobiety nie ma na całym świecie. Ale... ona nas zgubi. Jesteśmy na złej drodze. Uciekajmy... Tylko ucieczka może nas uratować.
— Powstał hałas i ogólny protest. Wszyscy zaczęli się z niego wysmiewać. Krzyczano głośno i debatowano. Kapitan Sambaba i chudy Chłńczyk Li-Miao-Tai krążyli wśród nas i opowiadali nową wersję.
d. c. n.

MARIAN PIECHAŁ

CZY CZŁOWIEK MOŻE BYĆ PTAKIEM?

Może. Podobnie jak jest już częściowo rybą. W łodziach podwodnych gruntuje głębie wód. Setki kilometrów płynie w tych łodziach pod powierzchnią mórz i oceanów. Niebawem zostaną zbudowane statki, swego rodzaju helikoptery wodne (a więc właściwie geokoptery lub telluriokoptery), w których człowiek docierał będzie do dna morskiego w każdym dowolnym punkcie. Jeżeli dziś znamy tylko wielosobowe statki podwodne, to w najbliższej przyszłości nie nie stoi na przeszkodzie, żeby zbudować jednoosobowe, a nawet takie, które podobnie jak szybownice powietrzne, wykorzystując podwodne prądy, bez motoru nurtowania będą w pięknych ewolucjach nie znane dotychczas w swym uroku głębie morskie i oceaniczne. Że więc człowiek może być rybą, to już sprawa dowiedziona. A że może być ptakiem — także.

Kto tego dowiódł? Lotnik francuski, sławny skoczek Leo Valentin. Przyplacił co prawda ten dowód własnym życiem i przez to jest uznawany w całym świecie bohaterem, ale dowiódł, że człowiek może latać w powietrzu bez maszyny podobnie jak ptak na samych tylko skrzydłach przytwierdzonych do ramion. Potwierdził praktycznie, że odwieczne marzenia ludzkości, przejawione choćby w antycznym mianie Ikarą i w próbach Leonarda da Vinci, są możliwe do zrealizowania. On je pierwszy w dziejach zrealizował. Dnia 13 maja 1954 roku na skrzydłach własnej konstrukcji krążył w powietrzu i przebył przeszło pięć kilometrów. W swoim

pamiętniku — a są to ostatnie słowa tego pamiętnika — zanotował skromnie: „Dzień dzisiejszy jest dopiero pierwszym dniem, w którym człowiek o własnych siłach zaczął szymbować w przestrzeniach”.

Ten pierwszy dzień należał do niego. Ale natura, jak wiadomo, jest zazdrosna o swe tajemnice i mści się na tych, którzy jej te tajemnice wydzierają. Sekret lotu indywidualnego, wydarty ptakom, został przez człowieka i w tym wypadku opłacony śmiercią. Przy dalszych próbach lotu ze skrzydłami, próbach mających na celu pogłębienie doświadczeń i techniki tego lotu i których już opisać nie zdołał, Leo Valentin zginął, jak zwykle w podobnych okolicznościach, z powodu błahego przypadku. Przy wyskakiwaniu z samolotu uderzył o jego krawędź jednym ze skrzydeł i zwichnął je. Lot o jednym skrzydłem wtrącił go w korkociąg. „Ciało człowieka-ptaka znalazło o kilka kilometrów od lotniska, na polu, wśród młodego zboża — mówi w posłowie do jego pamiętników ich polski tłumacz, Zbigniew Siołarek. — Teraz już oba skrzydła leżały strzaskane. I twarzą do ziemi leżał człowiek, który nie chciał pościć na tym, by jedynie za pomocą maszyny można było się unosić w powietrzu. Pragnął więcej. Romantyk wielkiej przygody, chciał skrzydłami chodzić po obłokach, szymbować w powietrzu o własnych siłach, przeobrazić stosunki między ludźmi i obszarem podniebnej przestrzeni. Dał temu wpraw

swiej książce, która od 21 maja 1956 roku (data katastrofy) stała się również listem do potomnych, mówiącym o żarliwości, samozaparcu, nieustępliwości w dążeniu do zrealizowania wielkiego snu o skrzydłach”.

Ta książka Leo Valentina pt. „Człowiek-ptak” ukazała się właśnie w polskim przekładzie nakładem „Iskier”. W serii dwudziestu dotychczas tomów „Naokoło świata” wydanych pięknie przez to wydawnictwo ten ostatni tom obok pamiętnika Roalda Amundsena „Zdobycie Bieguna Południowego” jest najpiękniejszy. Oba te tomy to najautentyczniejsze dzieje pokojowego bohaterstwa ludzkiego w służbie dobra powszechnego. Przyznam się, że są to najpiękniejsze książki, jakie w życiu przeczytałem — a przeczytałem ich przecie nie mało. Są to książki napisane nie z fantazji, a przecież przechodzące najśmielsze nasze fantazje, książki wyszłe z życia i służące życiu. Ich wartość jest niby poaliteracka, ale dla literatury przez swój autentyzm i rzeczowość stanowią wzór niedościgny. Są dokumentami uwierzytelniającymi „ludzkie bohaterstwo, przejawiające się w codziennym świadomym wysiłku opanowania tajemnych sił świata na własny użytek, w dążeniu do realizacji odwiecznych snów o potęgę i oświetlenie dalszych nieznanych granic możliwości rodzaju ludzkiego. Wymarzone to książki dla młodzieży, choć pisane bynajmniej nie dla młodzieży! Zwłaszcza ten pamiętnik „człowieka-ptaka”. Jako były harcerz i obecnie

jako członek Rady Przyjaciół Harcerstwa bardzo polecałbym tę książkę jako obowiązkową lekturę dla harcerzy. Jest ona poglądową lekcją świadomego bohaterstwa na codzień. A to jest bardzo rzadkie, choć tak jednak potrzebne w życiu. Gdy bohaterstwa bezwiednego i z przypadku mamy aż nadto w życiu. Zwłaszcza podczas wojny nie trudno z musu być bohaterem. Na wojnie nieraz z konieczności zostaje się bohaterem, bo innego wyjścia nie ma. Nie chcę przez to obniżyć potrzeby i wartości bohaterstwa wojennego w obronie własnej ojczyzny — chcę tylko przez to powiedzieć, że ono jest niejako odświeżone, okazjonalne, ono „samo do człowieka przychodzi, nieraz wbrew jego życzeniu i potrzebie. Tymczasem bohaterstwo na codzień, to świadomy wybór trudnego wysiłku, to całkowite poświęcenie, to całkowita ofiara i ostateczny cel ludzkiego dążenia.

Leo Valentin, człowiek-ptak, to właśnie wzór bohatera na codzień, bohatera nie wymyślonego przez literacką fantazję, lecz bohatera rzeczywistego, który swoje bohaterstwo zawdzięcza sobie samemu, czego skromnie, lecz właśnie dlatego tak wzruszające prawdą świadectwo dał w swym pamiętniku. Ten niezwykle pamiętnik polecam wreszcie tym wszystkim, którzy patrząc na ptaki zazdroszczą im ich lotu. Ja do nich należę. „Lekko mi, rzeźwo, lubo, wiem, co to być ptakiem!” — powiedział Mickiewicz. Szczęśliwy! Nie każdy to wie. Jeden jedyny Leo Valentin wiedział. I opisał to, zanim jeszcze zapłacił za wiedzę, jak każdy prawdziwy pionier i prekursor, własnym życiem. Mimo wszystko — szczęśliwy!

NASZA KRZYŻÓWKA

1	2	3	4	5	6
		7			
8			9		
		10	11		
12	13	14		15	16
		17			
18	19		20	21	22
		23	24		
25			26		
		27			
28			29		

ZNACZENIE WYRAZÓW:
POZIOMO — 1) Ludowy instrument muzyczny, 4) Podstawowy artykuł spożywczy, 7) Ciało lotne, 8) Jutrzenka, 9) Utwór literacki, 10) Klepisko w stodole, 12) Ptak, 15) Nazwa starożytnej szkoły filozoficznej w Atenach, której twórcą był Zenon, 17) Lalka, marionetka, 18) Imię męskie, 20) Przecinek, 23) Owad, 25) Zakładka, 26) Gilza, 27) Ogród zoologiczny, 28) Pewna kwota pieniężna, 29) Miasto, w którym urodził się Mahomet.

PIONOWO — 1) Zwierzę domowe, 2) Styl architektoniczny, 3) Drogocenny kamień, 4) Służba do pobrania pieniędzy w banku, 5) Nazwisko kompozytora, 6) Pół, 11) Mityczny bóg świata umarłych, 13) Przyrząd do mierzenia drogi przebytej przez statek lub jego szyb-

kości, 14) Miara powierzchni, 15) Sieć, 16) Metal, 18) Bicie karty młodsza zamiast starszą, 19) Narkotyk, 21) Specjalista w zakresie optyki, 22) Imię żeńskie, 23) Urodzajna miejscowość wśród pustyń, 24) Częstka materii.

TERMIN NADSYŁANIA ROZWIĄZANIA — 2 TYGODNIE.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówek z nr 13 wysłali:

1. Marian Buchacz, Bielesko-Biała, Sanatorium w Bystrej Śl.
2. Franciszek Łukasiewicz, Pabianice, ul. Warszawska 121.

9. **odgłosy** str.

Strasznie ciekawe, wręcz nieprawdopodobne, a przecież prawdziwe

ROZMAITOŚCI STAROPOLSKIE

czyli

SOBÓL i PANNA

Słowa o sobolu i pannie, które znalazły się w tytule znanej powieści Józefa Weyssenhofa, pochodzą ze zwrotki jednej z najbardziej popularnych pieśni — myśliwskiej, śpiewanej w temple marsza. Oto jedna z dalszych zwrotek:

A teraz dziemy, dziemy,
Towarzyszu mój!
Tobie zając i sarna,
A mnie soból i panna,
Towarzyszu mój!

Pieśń ta cieszyła się kiedyś dużą popularnością, a nawet znalazła uznanie Moniuszy, który włączył ją do swej opery „Hrabina”.

Tekst i melodia pochodzą jednak z czasów znacznie wcześniejszych, bo aż z XVII stulecia. Były to czasy największego rozkwitu sztuki myśliwskiej w Polsce. Łowicтво stanowiło główną i ulubioną rozrywkę szlachecką. Jeszcze w XVI wieku ołciec literatury polskiej pan Mikołaj Rej z Nagłowic ujmował rozkosze myśliwskie lapidarnie w trzy słowa: konik, charek, ptaszek!

Nie mogę się oprzeć chęci zacytowania jego soczystej i jędrnej polszczyzny na temat łowicтва: „Aż mała rozkosz, kto ma lasy albo łowiska, z rozmaitym się zwierzem nagonić?”

Zwierzę było w bród na obszernych przestrzeniach Polski, zarosłej nieprzebytą puszcza i szumiącej lasami. Za najpiękniejszy kraj łowicwów uchodziliśmy też jeszcze i w XX wieku! Wszak nikt inny, tylko zwołany myśliwy pan prezydent Rzeczypospolitej Mościcki i jego minister spraw zagranicznych Beck zaprosili na polowanie do Białowieży wielkiego łowczego Trzeciej Rzeczypospolitej Hermiana Goerlinga! W rok przed inwazją hitlerowską na Polskę!

Ale wróćmy do bardziej pogodnych i weselszych czasów w XVII stuleciu, w których ponoć lepiej się żyło! Polowano wówczas przeważnie i najchętniej na grubego zwierzca. Łowicтво, zresztą, było nie tylko zabawą i rozrywką; było ono również rodzajem przemysłu. Wielcy panowie, których podstawę aprowizacji i kuchni (żywicieli) liczne rzesze sług, dworzaków, gości stanowiła zima i latem upolowana zwierzyna, posiadali całe armie fachowców: łowczych, podłowczych, strzelców, psiarzyków, ptaszniaków, żwierzniaków (dozorców zwierzyńca) itp.

Dla drobnej szlachty, chłopów, mieszczan i prostego ludu myślistwo nie było ani zabawą, ani przemysłem, lecz po prostu — koniecznością. Rządzące drapieżniki rozmnażały się w Polsce z taką szybkością, że w niektórych okolicach stawały się plagą. Jak pisał prof. Bystroń — światny znawca tych spraw, niedźwiedzie gospodarowały po polach, dziki pustoszyły zasiewy, a wilki podchodziły aż do osiedli i napadały na podróżnych. „Opowiadano o rozmaitych miasteczkach, w których wilk w biały dzień pożarł burmistrza na rynku”.

Nie dziw, że przy takim „upowszechnieniu”, jak byśmy dziś powiedzieli, łowicтва, żyłka myśliwska rozrastała się w namietność. Jak wiadomo, w średniowieczu nie dziwiło nikogo, że nawet książęta kościół, biskupi jeździli na łowy. Długosz opisał biskupa krakowskiego Pawła (1260—1292), który by-

takim zapamiętał miłośnikiem łowów, że nie bacząc na godność biskupią i „zawodowy” — że tak powiem — obowiązek miłości bliźniego, przebił rohatyną jednego z myśliwych w puszczy kieleckiej za to tylko, że nieszczerzy spłoszył mu zwierzca. A gdy wybierając się na łowy, odprawiał mszę, wówczas myśliwi słuchali mszy trzymając w kaplicy w pogotowiu psy na smyczy i sokoły zakapturzone na berlach!

Sokoły!... To był oddzielny, specjalny i porywający rozdział w historii sztuki myśliwskiej!

W sokolnictwie używano rozmaitych ptaków: krogulcem łowiono przepiórkę, jastrzębiem — kuropatwy, białozorami czyli sokołami — inne ptactwo, zaś wycuczon orzeł potrafił upolować królika, lisa, a nawet — sarnę!

Do „szczwania pod pieczę” czyli polowania z ptakami myśliwi nosili je zakapturzone na metalowej lasce zwanej berłem. Upatrzywszy łup ptasznicę biciem w bęben płoszyli ofiarę i zdajemy sokołowi kapturkę z oczu wypuszczali do lotu. Sokół chwycił w łapie ofiarę, spadał z nią na ziemię i dobiegał. Często przymocowywano do nogi sokoła dzwonek, który pozwalał odnaleźć zblakniętego ptaka.

Układanie „unoszenie” lub „wprawowanie” czyli tresowanie ptaka było sztuką nie lada! Oblaskawiano sokoła zwykle w ten sposób, że zakrywano mu oczy kapturką i przyzwyczajano do siadania na ruchomej obrożce, na której ptak się kołysał. Stopniowo przyuczano sokoła do wracania na wołanie lub gwizd do ręki. Następnie trzeba go było „wkarmić” czyli przyzwyczaić do psów, z którymi miał brać udział w polowaniu. Młode ptaki łowcze zaprawiano na wypchanych zwierzętach, np. na zórawiu, do którego uwiązano kawałek mięsa jako nagrodę za trudy ćwiczenia. Tresowano również ptaki myśliwskie na ptactwie domowym. Stąd poszło przysłowie: „Biała tej kokoszy, na której jastrzębia zaprawują”.

Wiele królów polskich było zawałanymi myśliwymi. Król Zygmunt August lubił polowania na tury i żubry. (Tur — dziki wół o szarej maści z ciemniejszą smugą na grzbiecie. Ostatnią turzycę zabito w polowie XVIII wieku). Zygmunt August

miał ofiarować posłowi cesarskiemu Herbesteinowi tak olbrzymiego żubra, że — jak twierdził (zapewne z przesadą) dyplomata cesarski — król i dwie osoby mogły się pomieścić między nogami zwierzęcia. Nuncjusz Mucante opisując wrażenia z podróży po Polsce twierdził, że „żubrów jest sroższa postać i siła, otwarty i szeroki karł, zwiesiste rogi, większa tusza”.

Namietnym myśliwym był król Stefan Batory, który umykał przed znacznie starszą od niego żoną Anną Jagiellonką (poślubioną ze względów dynastycznych) do puszczy grodzieńskich. Według krawczych w kuluarach historii „ptolek” Batory poznał na łowach śliczną leśniczkę, z którą miał syna morganatycznego, a był nim jakoby Dymitr, zwany Samozwancem! A więc jak w pieśni rycersko — myśliwskiej: „soból i panna”.

Za panowania Batorego zwiększyły się znacznie szeregi myśliwych królewskich, tworzyły się szkoły „układania” (tresowania) sokołów i psiarzy. Ceny ptaków i psów były „niełiche”. Za sześć samców sokołów dobrze „unoszonych” (wytresowanych) zapłacił Batory po 30 złp. za sztukę. Była to cena wysoka, gdyż odpowiadała wartości 120 korcy żyta lub pary koni powozowych albo trzech karmnych wołów. Stąd pewien gatunek rzadkich sokołów otrzymał nazwę królewskich białozorów, faucons royaux.

Utrzymanie sokołów i rasowych psów myśliwskich było kosztowną zabawą. Stąd również poszła pogaduszka, że — niejednego szlachcica „psi zjedli”.

W XVI i XVII stuleciu również białogłowy pasjonowali się myślistwem. „Myśliwych pań nie wspominam — pisze Łukasz Górnicki w „Dworzaninie” — bo tych w Polsce pełno”. Wybitny znawca obyczajów staropolskiego Władysław Łoziński pisząc o tężyźnie Polek, nadmieniał, że „przy badaniu poufnej historii obyczajów odnosi się wrażenie, że kobiety były zdrowsze od mężczyzn i dłużej od nich żyły. Tłumaczyłoby się to skromniejszym życiem, a przede wszystkim wstrętnością w używaniu gorących trunków”.

Nie więcej nie powiem! Inteligentni paucal! Co się tłumaczy: Mądrej głowie dość na słowie.

potemika * potemika * potemika * potemika * potemika * potemika * potemika

„KTO KOGO NIE ROZUMIE?”

Istotnie. Kto kogo nie rozumie? Wydaje się, że w swoim felietonie nie wyrażam poglądu, jakoby „dobrze było zamykać pisarzy w złotych klatkach”. Przeciwnie, uważam, że pisarz powinien „płegryzmować po kraju” („i to nie tylko w czasie Dni Oświaty, Książki i Prasy”) chociażby w tym złośliwym celu, jak przyswierał Gorkiemu, który, jak przypomniał Szolochow, „przemierzył całą Rosję pieszo, Leskowowi, który wędrował pocztowymi i wynajętymi koniami, czy też Czechowowi, który „już ciężko chory, wędrownym zawodowa, pisarska, rzetelna ciekawością, znalazł w sobie dość siły, by pojechać na Sachalin”. Zresztą cele tych wypraw mogą być różne, ale pod różną nieprawdę nie zaszkodziły.

Jeżeli chodzi o tak zwane spotkania autorskie, modne ostatnio. O-

czywiście, dobrze jest, jeśli pisarz orientuje się we wszelkich zagadnieniach interesujących słuchaczy. A więc w uprawie literatury i kontraktacji buraka cukrowego także. Ale nie musi. Jednakże są pewne dziedziny, które pisarz powinien znać. Przede wszystkim sa to sprawy dotyczące jego zawodu. Są to również sprawy, mówiąc najogólniej, dotyczące znajomości życia, procesów społecznych, chociaż trudno tu mówić o jakiejś ogólnie obowiązującej receptce. Pisarz musi być często i historykiem, i socjologiem, i psychologiem, i filozofem, i... Bóg wie czym jeszcze. Lepiej jednak jest dla pisarza i dla czytelników, gdy jest np. dobrym socjologiem niż bardzo dobrym znawcą płodzinianu.

Wypływają z tego pewne konsekwencje. Jak należy traktować spotkania literata z chłopami? „Nie po-

radłowemu”, oczywiście. Ale też i nie w ten sposób, jaki sugeruje p. Janiszewski. No, trudno. Pisarz może wystąpić w rozmaitej roli — i nawet w roli agitatora, co wcale nie jest uchybiające, przeciwnie, wzbogaca kontekst pisarza — ale to są już zagadnienia innego rodzaju. Kto winien pomagać nauczycielowi i działaczowi, kto ruchowi amatorskiemu, teatralnemu? Czy pisarz? Czy przede wszystkim pisarz? Czy nie ma odpowiednich instytucji kulturalnych i społecznych, które tym się zajmują?

Pisarz, jak to zauważył niejaki William Hazlitt, a za nim i przed nim inni, ma pisać dobre książki. „Pisanie jest jego rzemiosłem”. Jeżeli przy tym ma zdolności aktorskie i umie mówić, tym lepiej. Ale przede wszystkim niech pisze. Sprawy kontraktacji zostawmy CUSI-KOWI. TADEUSZ PAPIER



kolęjne wieczory, pozwoliła by autorowi na uzyskanie ciekawszego układu dramatycznego całości. Z pozostałych spektakli bardzo nam się podobały: komedia banalna Adama Tarna — „Zmarnowane życie”, w reżyserii Ludwika Rene, z udziałem „gwiazd”. Jedrusik, Kamińskiej, Zembrzskiej, Łapickiego, Wołłejki i innych, oraz adaptacja słynnej powieści Montgomeriego „Ania z Zielonego Wzgórza”. W tej inscenizacji na szczególną uwagę zasługuje wykonanie roli tytułowej przez — chyba po raz pierwszy widzianą na ekranach telewizorów — młodą aktorkę, Danutę Przesmycką.

Przed kamerami telewizji katowickiej wystąpił młody, bardzo utalentowany muzyk Laszlo Szendrey. Solista węgierski grał na gitarze. To co nam zaprezentował: bogatą różnorodność utworów, czystość tonu i nieskazitelną technikę — stawia go w rzędzie wybitnych wirtuozów tego, niestety, niedocenianego dla odtwarzania utworów poważnych, instrumentu. Redakcji filmowej należą się słowa uznania za przypomnienie na szklanych ekranach znakomitego „klasyka” — „Burzy nad Azją” Wsiewołoda Pudowkina. Prosimy o śmielsze sięganie po dawne dzieła filmowe sławnych mistrzów. Rów-

nież podobala nam się radecka krótkometrażówka o życiu i hodowli pszczoły. I wreszcie, utrwalone na taśmie filmowej, poetyckie „Spotkanie z Nicie”. Telewizyjny film krótkometrażowy, który w impresyjnej formie przypomniał nam Nieborów i Gałczyńskiego, jest — na razie jeszcze — nieśmiały, lecz ciekawą próbą nowego, przystosowanego dla telewizji, ujęcia tematu. Film przygotowali realizatorzy łódzkiej telewizji.

Tyle o ciekawych audycjach telewizyjnych z niedawnej przeszłości. A przyszłość? Urlopy... urlopy... aktorów, reżyserów, pracowników telewizji, i... widzów. A więc — nieco skromniejszy program. (W tym miejscu oddaję się marzeniu). Dopóki Mikołajki, Krynica, Międzyzdroje, Jelenia Góra i dziesiątki innych miejscowości letniskowych nie uzyskają połączeń telewizyjnych, dopóki domy czasowe i schroniska nie zostaną wyposażone w odbiorniki ze szklanym ekranem, dopóki wyprodukowanie a potem nabycie małego, turystycznego, batteryjnego telewizora będzie tylko sferą marzeń — nieśmiałe, „letnie” polityka programowa telewizji jest chyba uzasadniona. Na razie więc, „Szarotki” na urlopie i dużo słońca.

Z. K.

Widoki dawnej Łodzi



Przedwojenna fotografia Wł. Pfeifra przedstawia fragment dawnej ulicy Olgińskiej. Nazwę spółdzielcy — Piramowicza otrzymała w 1919 r.

Na fotografii widoczne z prawej strony (nie istniejąca dziś) stare ogrodzenie prawosławnej cerkwi (wzniesionej w latach 90 ub. wieku), z akcentami stylu klasycznego o charakterze bazyliki. Obok dom parafialny. Dawne zabudowanie tej ulicy — to przysłowiowe „kocie łby”.

Przy ulicy Piramowicza w latach 20 b. stulecia mieścił się szereg głównych instytucji i zarządów oświatowych naszego miasta. Zamieszczone zdjęcie wykonane było ok. 1927 r.

Tu mieściła się słynna Komisja Powszechnego Nauczania i Wydział Oświaty ówczesnego Magistratu m. Łodzi. Wydział ten zaopatrywał szkoły łódzkie w pomoce naukowe i art. opałowe. Opiekował się poza tym miejskimi szkołami średnimi, kursami pedagogicznymi i uniwersytetem ludowym.

Komisja Powszechnego Nauczania (której przewodniczącym był Kopecki), zasłynęła z uchwalenia w 1919 r. pierwszego w Polsce — „Statutu miejscowego o wprowadzeniu powszechnego i obowiązkowego nauczania w m. Łodzi”. Naturalnie obowiązki zaszczepne wykonała. W jej kołach pracowało wielu zasłużonych łódzian m. in. Sterling, Grabieński, Augustyniak, Papiś, Waltratus.

Tutaj pracował też dawny Inspektor Szkolny Okręgu Łódzi, znajdowało się również Gimnazjum T-wa Szkół Średnich oraz znalazła pomieszczenie pierwsza Apteka Miejska.

ZDZISŁAW KONICKI

Miś AKA FILMOWA

PLOTECZKI O CHAPLINIE

NOWE FILMY BUŁGARSKIE



(Rys. Iols-Gratkowski)

Kto nie zabierał już głosu, by powiedzieć choć parę słów o Chaplinie? Nie więc dziwnego, że pani Isoled Deluze, która przez okragły roczek była sekretarką Charlie Chaplina w Genewie, ogłosiła artykuł na temat wad swego słynnego pryncypala. Pani Deluze pisze m. in.: „Chaplin odczuwa paniczny lęk przed telefonem i nigdy nie podnosi słuchawki. Nie lubi dzieci. Swoje własne polechy chciał umieścić w oddzielnym domu, by nie być z nimi razem. Wszystkim swoim wielbicielom, którzy doń piszą, wysyła zawsze tę samą fotografię z dedykacją napisaną jeszcze w 1939 roku. Wysyła ją nawet jakimś starszuszce w Dijon, który prosi go o węgiel, młodej parze z Wenecji, która chce (para nie Wenecja — przyp. mój) kupić skuter, Anglikowi, który zwraca się do Chaplina z prośbą o sfinansowanie rozwodu lub japońskiemu przemysłowcowi, który na własną rękę zamierza ujarzmić energię atomową”. Swoją drogą trudno mieć za złe Chaplinowi, że w sposób tak lakoniczny odpowiada na listy swych „wielbicieli” i dziwić się wypada, że w ogóle to czyni.

SKAT.

Produkcja kinematografii bułgarskiej polepsza się jakościowo. Ostatnimi czasy na ekranach Sofii ukazało się kilka pozycji interesujących zarówno treściowo jak i formalnie. Najciekawszym wydaje się być „Rodzina Gerazi” — film oparty na klasycznej powieści bułgarskiego pisarza Elin Pelin. Akcja toczy się w małym prowincjonalnym miasteczku, odcitym od świata i cywilizacji, pogrążonym w swoim zatchym, beznadziejnym bytowaniu. Epizod heroicznej walki ludu bułgarskiego z Turkami odwarza „Spisek patriotów”. Natomiast Janko Jankow w „Latach miłości” sięgnął po tematykę współczesną, ukazując społeczne i moralne konflikty dzisiejszego życia. Na uwagę zasługuje również film „Na wysepce” — debiut obiecującego młodego reżysera Walczanowa.



POKOJOWE OŚWIADCZENIE MARTINE CAROL

Popularna aktorka francuska Martine Carol po powrocie z Tahiti bawi obecnie w Berlinie, gdzie gra jedną z głównych ról w filmie Aldricha „Feniks”. Prasa francuska twierdzi, że po byciu na Tahiti zupełnie zmieniła Martine. Marzy ona o tym, by kupić sobie willę i pozostać na zawsze w tym kraju słońca, kwiatów i muzyki. To jednak chyba za kilkanaście lat dopiero. Na razie Carol oświadczyła, że zrywa kategorycznie z tradycją „bomby seksu” i chce zostać artystką z prawdziwego zdarzenia. W dowód szczerości swych intencji w filmie Aldricha, Martine występuje w skromnym sportowym kostiumie, bez upiększającego makijażu, z prostymi i krótkimi włosami.



mi. Mimo to jest jeszcze bardziej uroczą niż zwykle — twierdzą reporterzy. Warto zauważyć, że dotychczasowa kariera Martine Carol przebiegała pod znakiem kąpieli. Sami podziwialiśmy ją jako Lizystratę kąpiącą się w mleku. Najgłośniejsze są jednak sceny kąpieli w „Lukrecji Borgii” i „Kochanej Karolinie”. Zostały one zresztą wycięte przez cenzurę co enotliwszych krajów. Dziesięć kąpieli to dosyć — powiedziała Martine. Wszyscy już wiedzą, że jestem świetnie zbudowana i bardzo zgrabna. Teraz przekonają się, że jestem i bardzo zdolna.

Awersja uroczej aktoreczki do wody stanie się jeszcze bardziej zrozumiała, gdy powiem wam w tajemnicy, że usiłowała ona swego czasu utopić się z powodu miłości do pięknego George Marchalla (Jutrzenka). Teraz wiecie już wszystko! Obecnie Martine Carol jest żoną reżysera Christiana Jaque, (twórcy „Fanfana”, „Pustelni Parnickiej” i „Gdyby wszyscy ludzie dobrej woli”, a prasa plotkarsko przebąkuje, że i w tym jej małżeństwie zaczyna się coś psuć.

SKAT.



KRÓLOWA SEXU

Słynna ongiś złotowłosa gwiazda niemego filmu Mae West oświadczyła, iż zamierza powrócić na ekran. Na razie aktorka odsunęła się od życia towarzyskiego Hollywood i zamknięta w swojej luksusowej willi pracuje z zapalem nad dziełem pt. „Królowa seksu”. Jak twierdzą wtajemniczeni epokowa ta książka nosi ponoć charakter autobiograficzny.

Po swoim apelu (patrz poprzedni numer „Odgłosów”) — „O kienko” otrzymało pierwszą korespondencję. Pani H. Z. z Pabianic oczywiście ma rację. Aktor amerykański Ernest Borgnine, bohater wzruszającego filmu „Marty” — jest osobą wyjątkowo sympatyczną. Jego pamiętna rola w filmie „Marty” (z którego pochodzi zdjęcie reproduktowane obok) zaskarbiła mu sympatię setek tysięcy widzów na całym świecie. Ale nam chodziło o sympatycznych bezpodstępnych znajomych. „O kienko” czeka w dalszym ciągu!

O CZYM MĘŻCZYŹNI NIE WIEDZĄ...

Nie wiedzą, że obok nich, w ich domach i zakładach pracy trudności codziennego życia stworzyły z życia kobiety piekło. Kłopoty mieszkaniowe, ogonki w sklepach i tłok w tramwajach, źle zorganizowane godziny pracy, życie domowe i uciążliwa praca — składają się na heznadziejną szarost jej codziennego życia.

Temat jest aktualny, szlachetny i wyjątkowo słuszny. Od dawna wymagający poruszenia na łamach prasy (cykl artykułów pt. „Piekło kobiet” w „Odgłosach” to za mało!), czy na taśmie plakatu filmowego. Ale nie tak, jak to zrealizował Jerzy Kaden. Reżyser filmu „O czym mężczyźni nie wiedzą” zapomni o tym, że film nie przemawia samym tematem, choćby był najsłabszym, lecz także i realizacją tematu. Ze jego wartością, a więc wszystko poczyniwszy od scenariusza a skończywszy na kompozycji klatki — decyduje o wartości poruszanej sprawy.

Sztuka kinematograficzna zawiera ogromny arsenał możliwości wzruszania widza: zdjęcia, zestawianie scen, układ poszczególnych ujęć i ich łączenie. Kaden pomógł te drobniaki i całą wagę tematu przeniósł na komentarz. Gdyby powstały w Polsce kina dla niewidomych — być może film „O czym mężczyźni nie wiedzą” — potrafiłby spełnić swoje zadanie. Niestety, czasami mężczyźni nie wiedzą, jak należy robić filmy.

LIDIA



„Shane” w Polsce

Od czasów „Miasta bezprawia” nie było na naszych ekranach „westernu” z prawdziwego zdarzenia. Były natomiast lepsze i gorsze namiastki. Podobno jednak wśród zakupionych niedawno filmów amerykańskich są westerny, a między nimi „Shane” — wysoko oceniany film reżysera George'a Stevensa, nakręcony w technicolorze przez wytwórnię Paramount Pictures Corporation. Na zdjęciu jeden z bohaterów tego filmu — Brandon de Wilde.



Codzienna rola Giulietty Masiny...



W kinie

Imieniny Henrietty

Proces powstawania filmu, jeśli jest rozłożony na „czynności pierwsze”, jest arcyznakomitym tematem komedii. Niejeden z pracowników Wytwórni Filmów Fabularnych skłonny jest przysiąc, że gdyby nakręcono film dokumentalny o pracy ekipy na planie — wówczas wynik byłby ciekawszy niż rezultat zasadniczych zdjęć. Wiadomo na przykład, że nie wszyscy reżyserzy żyją w zgodzie z operatorami i gdy ekipa dobiera się, to często, już z góry wiadomo, że na planie będą się działy cuda. Jest to zwykły wypadek, gdy operator lubi ciekawe ustawienia kamery, bardzo ekstrawaganckie, a reżyser

tradycję przedkłada nade wszystko. Może zaistnieć także sytuacja odwrotna, podobnie jak przedmiotem sporu może być także praca scenografa (częste!), kostiumologa a nawet fotostylisty. Istnieją wielkie, legendarne kłótnie, głośnie w środowisku filmowym. Jest to temat wysoce atrakcyjny, wart kilku felietonów. Ale dzisiejsze uwagi traktują nie o rodzinie kinematografii, tylko o francuskiej, a ściślej o pewnym sporze zanotowanym na taśmie filmowej. Jest to spór nie autentyczny, tylko wymyślony przez autorów filmu, w celu nakręcenia obrazu pt. „Imieniny Henrietty”.

„Imieniny Henrietty” to komedia o wstawkach sensa-

cyjnych. Kamera nie zanotowała rozdzwiku, mającego miejsce na planie zdjęciowym, bo rzecz się toczy dopiero na etapie scenariusza. Znaczący to tyle, że dwóch scenarzystów „pisze” film, a postacie zostają natychmiast ożywione i grają. Różnica



temperamentu twórczego obu scenarzystów powoduje gwałtowne zmiany charakteru filmu. Wątek sentymentalny ustępuje sensacyjnemu. Najkompletniejsze jest jednak to, że rzeczywisty scenarzysta istotnie pisał dwóch scenarzystów (J. Durivier i H. Je-

anson) i może dlatego odnosiłmy wrażenie, że na film tak-że zaciążyły różne temperamen-ty. Nie zmienia to jednak postaci rzeczy w kwestii, która najbardziej interesuje widzów. A więc „Imieniny Henrietty”, to film naprawdę wart obejrzenia. Tym bardziej, że występuje w nim Dany Robin („Julietta”) — aktorka wyjątkowo miła.

Film zaczyna się bardzo niewinnie. Zbliża się dzień 14 lipca, święto narodowe i tradycyjne zabawy, które niegdyś stworzyły już to przeuroczemu filmowi Rene Claira („14 lipca”). Narzeczony Henrietty (Michel Roux) jest fotoreporterem, który ma dokonać zdjęć na wszystkich placach. Obiecał Henriettcie, że ją zabierze ze sobą. Henrietta udaje szwedzką gwiazdę filmową i pozuje do zdjęć otoczona zbieraczami autografów. Tymczasem na

widnokregu zainteresowań drugiego scenarzysty czai się już gangster Maurice (Michel Auclair). Maurice poznaje Henriettę i flirtuje z nią pod nieobecność jej narzeczonego Roberta. Ale Maurice ma na ten sam dzień zaplanowaną akcję, odpowiednią dla swojego zawodu. Wynika z tego cały szereg komicznych zdarzeń. Nie zdradzę ich, żeby nie pozbawiać widzów przyjemności płynącej z tego beztrudnego filmu.

Kiedy nasza kinematografia zainteresuje się własnym podwórkiem jako czymś na kształt i podobieństwo tematu? Jak wiadomo wdzięczna komedia Tadeusza Chmielewskiego („Ewa chce spać”) też się zaczęła i skończyła „produkcyjnie”, a nawet któryś znany reżyser ponoć w niej się poznał. Może by tak coś jeszcze z tego tematu? METODY.